

ISSN 2084-4999

1,23 zł (23% VAT)

styczeń-luty 2015

Alter pop #24

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Alter
pop
MAG E-ZINE

numer 24
styczeń-luty 2014
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny
Tadeusz Bisewski

Redakcja
Maciej Kaczmarek
Agnieszka Kalus
Jakub Miłszewski
Dawid Myśliwiec
Wojciech Onyszków
Dawid Wiktorski

Korekta
Michał Adamski

Wydawca
Fundacja Alterpop
Plac Kaszubski 8/205
81-350 Gdynia



WSPIERAMY KULTURĘ, ZMIENIAMY LUDZI

KULTURA JEST WSZĘDZIE

Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego,
jak duży wpływ ma na nas kultura.

W społeczeństwie powszechnie korzystającym z dóbr
kultury żyje się lepiej – świat jest ciekawszy, ludzie mają
więcej empatii, gospodarka jest bardziej innowacyjna...

Dowiedz się więcej o fundacji na:

ALTERPOP.ORG.PL

Doładuj telefon i czytaj Alterpopa:

doładowania.alterpop.pl

** z potwierdzeniem doładowania zawsze otrzymasz link do najnowszego numeru*

PREMIERY

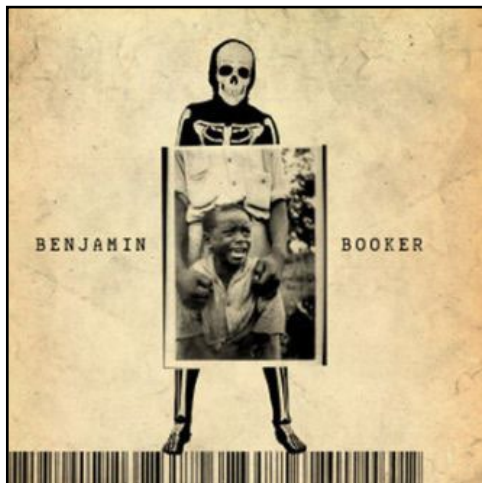
płytowe

#blues #garage #punk

Benjamin Booker

Benjamin Booker

Czarnoskóry Amerykanin zdążył już narobić sporo szumu swoim debiutanckim longplayem. Szum jest uzasadniony, bo **Benjamin Booker** to świetna, żywiołowa płyta, którą docenią wielbiciel Jacka White'a (The White Stripes), The Black Keys, Gary'ego Clarka Jr. i duetu The Kills. Ale nie tylko – artysta jako inspiracje wymienia grupę T.Rex, słyhać też wyraźne naleciałości punkowe. W rezultacie otrzymujemy surowy garażowy blues z elementami boogie, napędzany jazgotliwymi gitarami i nieco chropowatym głosem Bookera. Kiedy śpiewający gitarzysta nie pędzi na złamanie karku, jak w singlowym **Violent Shiver**, porywającym, rozbitym na dwie części **Have You Seen My Son** czy chwytliwym **Wicked Waters**, ujawnia się jego liryczna, choć nadal brudna, strona (**Spoon Out My Eyeballs, I Thought I Heard You Screamin** i utrzymany w duchu The Rolling Stones **Slow Coming**). W ogóle dużo tu zadziorności, szorstkości i energii, której Bookerowi mogliby pozazdrościć niejedni punkowcy. Środki wyrazu wprawdzie oszczędne, ale brzmienie – potężne. Kapitałny debiut.



#drum'n'bass #jungle

Amen Andrews

News of the World

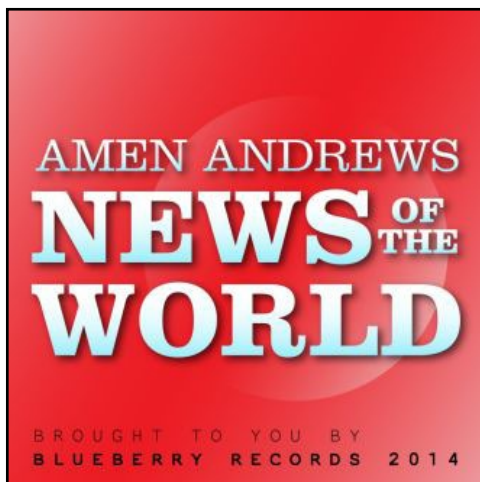
Po ponad ośmiu latach od ostatniej płyty firmowanej tym pseudonimem, Luke Vibert przywrócił do życia projekt Amen Andrews. Jak sama nazwa wskazuje, pod tym szyldem Anglik wyżywa się przede wszystkim na amen breaku – pochodzącej z utworu **Amen, Brother!** grupy The Winstons, słynnej sześciusekundowej perkusyjnej pętli, która rzuciła podwaliny m.in. pod hip-hop, breakbeat, hardcore, breakcore, jungle i drum'n'bass. Cztery utwory na **News of the World** przenoszą w złote czasy tych dwóch ostatnich podgatunków elektroniki. Potężne basy eksplodują w głośnikach, wokalne sample ścierają się z odgłosami wystrzałów i przeładowywanej broni, a połamane rytmy zachęcają do tego, żeby tańczyć tak, jak gdyby sprzedawało się gwoździe. Przepyszne. Miejmy nadzieję, że epka stanowi zapowiedź longplaya. **Jungle is massive!**

#bowie #pop #rock

David Bowie

Nothing Has Changed

Szatański pomysł – kompilację podsumowującą dokonania jednego z najbardziej zmiennych artystów wszech czasów zatytułować **Nic się nie zmieniło**, zaś utwory (aż 59 na omawianej tu trzy płytowej edycji) ułożyć w kolejności chronologicznie odwrotnej, od najnowszego po najstarszy. Taki zabieg pozwala spojrzeć w nieco odmienny sposób na dyskografię genialnego Anglika, który w styczniu skończył 68 lat. Naj-



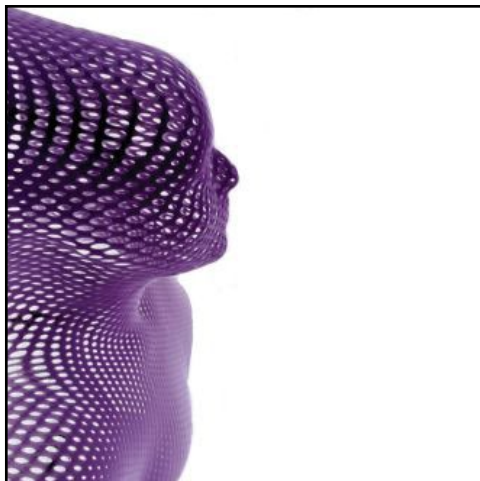
nowszy utwór to **Sue (Or In A Season Of Crime)**, inspirowana jazzem, mroczna i niespokojna ballada z Bowiem zawo-
dzającym tak, jak tylko on potrafi. Utwór
znakomity, jeden z najlepszych w całej,
ponad pięćdziesięcioletniej karierze
twórcy Ziggy'ego Stardusta. Najstarsza
kompozycja, **Liza Jane**, pochodzi z 1964
roku i zamyka składankę. A pomiędzy
– nie tylko plejada przebojów (m.in.
Let's Dance, Ashes To Ashes, „Heroes”
i **Space Oddity**), ale również remiksy,
nagrania z nigdy niewydanej płyty **Toy**
oraz na nowo zremasterowane zna-
ne piosenki. Kupcie po egzemplarzu
tej płyty swoim dzieciom, bratankom,
siostrzeńcom i dzieciom znajomych
– **Nothing Has Changed** stanowi do-
skonale wprowadzenie w twórczość
jednego z najwybitniejszych i najbar-
dziej wpływowych artystów XX wieku.

#ambient #elektronika #idm

Heidi Lord

English Electric

Heidi Lord to żona Jodeya Kendricka,
producenta związanego z wytwórniami
Rephlex i WeMe. Nakładem tej drugiej
oficyny pod koniec ubiegłego roku ukazał
się debiutancki album Heidi. Trzyńście
utworów (zatytułowanych po prostu **AM**
z kolejnymi cyframi) zebranych na **En-
glish Electric** oscyluje wokół posępnego
ambientu i chrupiącego idm-u. Muzyka
zahacza też o poszukiwania artystów
nagrywających dla kultowego labelu Ra-
ster-Noton. Heidi wykorzystuje zarówno
syntezatory modularne, jak i odgłosy...
maszyny do rezonansu magnetycznego,
co łączy ją choćby z Cosey Fanni Tutti,
współzałożycielką Throbbing Gristle.
Dokonania Lord spodobają się fanom



Autechre i Demdike Stare, a także wielbi-
cielom płyty **Selected Ambient Works vol.
2** Aphexa Twina oraz grupy Coil z okresu
albumu **Worship The Glitch**. To podob-
na wrażliwość i podobne, niepokojące
dźwięki. Eksperymentalna elektronika
najlepszego sortu.

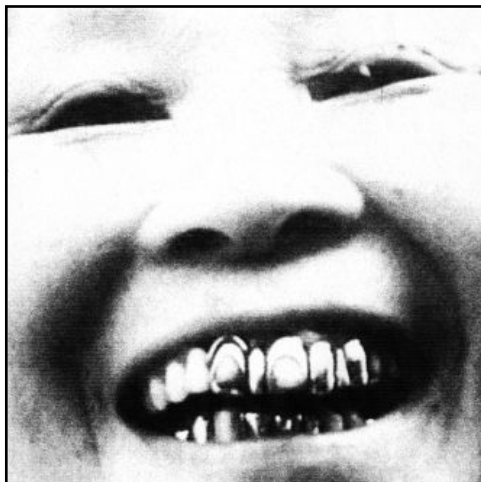
#elektronika #post-techno

Sd Laika

That's Harakiri

To płyta jeszcze z pierwszej połowy za-
mierzonego roku ubiegłego, lecz jest na
tyle nietuzinkowa, że warto rzucić na
nią światło. Nie jest to jednak pozycja
skierowana do masowego odbiorcy.
Peter Runge vel Sd Laika rzuca wyzwa-
nie słuchaczom i ich przyzwyczajeniom,
bezlitośnie szatkując materię muzyczną.
Z wybranych konwencji czerpie ele-
menty niby do siebie nieprzystające
i tworzy z nich odrębną, wielce niepo-
kojącą jakość. Tutaj smagnięcie niskich
częstotliwości rodem z bass music, tam
rytmika techno (nie tylko, bo perkusjo-
nalia są mocno zróżnicowane), jeszcze
gdzie indziej industrialne zgrzyty, fale
noise'u, dark ambientowe podkłady,
niedorzeczne wodewilowe pianinko,
ośmiobitowe popiskiwanie i inne dzi-
waczne sample, poskładane w pozornie
chaotyczny sposób. W rezultacie techno
czy ambient w wydaniu Amerykanina ni-
gdy nie są tu do końca tylko techno czy
ambientem. **That's Harakiri** to album
niełatwy, uwierający, pełen dysonansów
i złowróżbnej atmosfery – album, który
mógł powstać tylko w tak niespokojnych
czasach, jak druga dekada XXI wieku.
Groza zaklęta w dźwiękach.

Opracował: Maciej Kaczmarewski



Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciągą noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**

Mam tak samo jak ty

*

Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko



Najbardziej oczekiwane albumy 2015 roku

Subiektywna lista ośmiu najciekawszych tegorocznych zapowiedzi płytowych w zupełnie przypadkowej kolejności.

Björk

Vulnicura

Następca **Biophilia** miał ukazać się w marcu, zaś jego premiera miała zbiec się w czasie z publikacją książki **Björk: Archives** oraz z poświęconą artystce wystawą w nowojorskim Museum of Modern Art. Jednak po tym, jak na



Björk

Vulnicura

początku roku album wyciekł do sieci, wytwórnia wyznaczyła premierę na 20 stycznia. Nagrywanie **Vulnicury** trwało w sumie trzy lata, zaś przy produkcji płyty pomagało Islandce dwóch obiecujących twórców: Brytyjczyk Bobby Krlic, nagrywający jako The Haxan Cloak oraz Alejandro Gherzi vel Arca – wenezuelski producent, który ma na koncie nie tylko wysoko oceniony album **Xen** z zeszłego roku, ale i współpracę z takimi tuzami jak Kanye West, Dean Blunt czy FKA twigs. W jednym utworze swojego wokalu użyczył także Antony Hegarty.

The Prodigy

The Day Is My Enemy

Sześć lat po **Invaders Must Die** ukaże się szósty album legendarnego brytyjskiego tria, które w tym roku będzie obchodzić 25-lecie działalności. Premierę **The Day Is My Enemy** zaplanowano na 30 marca. Wcześniej, bo pod koniec grudnia ubiegłego roku, ukazał się pierwszy singiel promujący album – **Nasty**. Tytuł płyty nawiązuje

do piosenki **All Through The Night** Cole Portera. Poprzedni krążek The Prodigy był komercyjnym sukcesem, ale wśród fanów i krytyków wywołał mieszane uczucia. Niektórzy sugerowali mało chwalebne odcinanie kuponów, inni wprost zarzucali Liamowi Howlettowi i spółce zjadanie własnego ogona. Jak będzie tym razem – przekonamy się wiosną.

The Cure

4:14 *Scream*

Ten album miał trafić do sklepów jeszcze w ubiegłym roku, ale z nieznanego powodu jego wydanie przesunięto na inny, późniejszy termin. Materiał na

4:14 *Scream* został zarejestrowany w tym samym czasie, co poprzedni, niezbyt dobrze przyjęty krążek Roberta Smitha i spółki – **4:13 *Dream*** – a więc jeszcze w 2007 roku. Czternasta płyta w dorobku The Cure do tej pory nie otrzymała konkretnej daty premiery, ale jak zapowiada Smith, ma ona stanowić powrót grupy do mroczniejszych klimatów, tak uwielbianych przez fanów zespołu. Warto jednak liczyć się z tym, że **4:14 *Scream*** ukaże się jeszcze później niż w 2015 roku.

Radiohead

Od czasu wydania ostatniej płyty Radiohead, **King of Limbs** – a więc od czterech lat – członkowie zespołu nie



The Cure





Grimes

narzekali na brak zajęć. Thom Yorke powołał do życia nowy projekt Atoms For Peace, z którym wydał płytę i wyruszył w trasę koncertową, po czym zrealizował solowy album **Tomorrow's Modern Boxes** za pośrednictwem serwisu BitTorrent. Johnny Greenwood występował z London Contemporary Orchestra, Aphexem Twinem i Krzysztofem Pendereckim (z tymi dwoma ostatnimi również w Polsce – w 2011 roku we wrocławskiej Hali Stulecia) i skomponował muzykę do filmu **Inherent Vice** Paula Thomasa Andersona, zaś jego brat Colin był odpowiedzialny za oprawę muzyczną towarzyszącą pokazowi Dries Van Noten podczas Paris Fashion Week. Nawet Phil Selway nagrał solową płytę. W końcu jednak grupa weszła do studia, aby nagrać dziewiąty krążek Radiohead, który

ukaze się prawdopodobnie w drugiej połowie roku.

Grimes

Przed trzema laty Claire Boucher nabiła sporego zamieszania płytą **Visions**, która zajęła czołowe miejsca w większości liczących się podsumowań najlepszych albumów A.D. 2012. W zeszłym roku Grimes wydała zaskakujący singiel **Go**, który wraz z nowymi piosenkami granymi podczas letnich festiwali mógł wskazywać, że Kanadyjka zwraca się coraz wyraźniej w stronę muzyki pop. Najnowsze wieści mówią o tym, że na kolejnym albumie (tytuł i data premiery nie zostały jeszcze ujawnione) Boucher sięgnęła po gitary, a nawet nagrała piosenkę utrzymaną w stylistyce... glam rocka. Zobaczmy.

The Libertines

Oszalałający sukces na początku XXI wieku, setki tysięcy sprzedanych płyt, status pupilów prasy, zachwyty krytyków i fanów – a wszystko to błyskawicznie zmarnotrawione przez konflikty na linii Carl Barat-Pete Doherty i uzależnienie od narkotyków tego drugiego, co ostatecznie doprowadziło do rozpadu grupy pod koniec 2004 roku. Dopiero sześć lat później liderzy pogodzili się, a zespół ponownie zwał szeregi w oryginalnym składzie, by zagrać kilka koncertów. W listopadzie ubiegłego roku The Libertines podpisali kontrakt z wytwórnią Virgin EMI, zaś ich trzeci album – i pierwszy od 11 lat – ma ukazać się właśnie w 2015 roku.

Giorgio Moroder

Ojciec chrzestny współczesnej elektroniki i pionier synthpopu powraca z pierwszą solową płytą od ponad dwudziestu lat. Włoski producent (rocznik 1940!) przeżywa drugą młodość od czasu, gdy Daft Punk zaprosili go do opowiedzenia swojej historii w utworze **Giorgio by Moroder** na bestsellerowej płycie **Random Access Memories**. Francuski duet ocalił Morodera od zapomnienia i przywrócił mu należne miejsce w popkulturze: autor przeboju **I Feel Love** Donny Summer po raz pierwszy wystąpił jako DJ, wziął udział jako prelegent w Red Bull Music Academy, zremiksował kilka swoich starych przebojów i zabrał się do pracy nad nową płytą z udziałem zaskakujących gości, takich jak Britney Spears, Kylie Minogue i Matthew Koma. Tytuł albumu i data premiery są jeszcze nieznane.

David Bowie

Tak naprawdę nie jest pewne, czy w tym roku pojawi się nowa płyta Bowiego. Artysta, który w 2013 roku powrócił po 10 latach milczenia doskonałym albumem **The Next Day**, konsekwentnie unika wywiadów, zaś jego „głosem na Ziemi” jest długoletni producent i współpracownik Tony Visconti. I właśnie dzięki Viscontiemu wiadomo, że podczas sesji do **The Next Day** zarejestrowano o wiele więcej materiału niż ostatecznie trafiło na płytę. Także wydana pod koniec ubiegłego roku kompilacja **Nothing Has Changed** z premierowym, doskonałym utworem **Sue (Or In A Season Of A Crime)** wskazuje, że Bowie ciągle pisze, komponuje i nagrywa. Niewykluczone więc, że następca **The Next Day** ujrzy światło dzienne w tym roku.

Maciej Kaczmarski



David Bowie

PREMIERY *filmowe*

#kino akcji #sztuki walki

reż. Chad Stahelski

John Wick

Gdzieś w rozdźwięku pomiędzy wielkimi blockbusternymi a filmami artystycznymi kompletnie zaginęło rasowe kino akcji. Dawni herosi pokroju Stevena Seagala odeszli w niepamięć, a w ich miejsce nie pojawili się nowi. Udałe sceny walki w filmach pojawiają się chyba już wyłącznie w adaptacjach komiksów, dlatego z tym większą przyjemnością powitałem *Johna Wicka* Chada Stahelskiego.

Debiut reżyserski znanego hollywoodzkiego kaskadera nie usiłuje być czymś więcej niż porządną rozrywką. Dialogi aż skrzypią od kiczu, aktorzy nie robią więcej niż wymagałaby od nich konwencja, a jednak ogląda się to z prawdziwą przyjemnością. Keanu Reeves wciela się w rolę byłego najemnika rosyjskiej mafii, który dokonuje zemsty na byłych pracodawcach po tym, gdy ci zabijają... jego psa. Powód z pozoru błahy, ale dramaturgii dodaje fakt, że zwierzak był prezentem od zmarłej żony, a zbiry na dodatek kradną Johnowi przepięknego Mustanga Shelby z 1969 r.



Nie dziwne więc, że mający łatwość zabijania Wick traci panowanie nad sobą. Krwawa wendeta prezentuje się nad wyraz dobrze – trup ściele się gęsto, a sekwencje walki są dynamiczne i świetnie sfotografowane. Kaskaderskie doświadczenie Stahelskiego zaprocentowało i zaowocowało dobrym, rasowym akcyjniakiem.

#Oscar #kino argentyńskie #czarna komedia

reż. Damián Szifrón

Dziki historie

O wielkości *Dzikich historii* nie świadczy nominacja do Oscara w kategorii najlepszego filmu zagranicznego ani pokazy w konkursie głównym podczas zeszłorocznego Cannes. Świadczy o niej porażająca wręcz prawda bijąca z przedstawionych na ekranie absurdalnie maniakałnych opowieści.

Dzieło argentyńskiego reżysera to jednocześnie fenomenalna komedia i przerażający film grozy. W każdej z sześciu historii, które składają się na dwugodzinny seans, pojawiają się najgorsze ludzkie uczucia i przywary: gniew, chciwość, nienawiść, żądza zemsty. Pojawiają się w dodatku w natężeniu, które z łatwością mogłoby przytłoczyć widza, gdyby nie zaskakująco przystępna forma. Za pomocą konwencji czarnej komedii Szifrón obśmiewa najgorsze ludzkie wady, zostawiając jednak widzów z poczuciem ogromnego dyskomfortu.

Skąd ten dyskomfort? Na początku nie jest on odczuwalny, gdyż pokryty jest grubą warstwą histerycznego wręcz śmiechu, który jest efektem doskonałych dialogów i dorównującej im gry licznej gromady aktorów.



go. Pojawia się dopiero wówczas, gdy uświadamiamy sobie, że większość z przedstawionych na ekranie kuriozów to najszczęsza prawda. Trzeba ogromnego dystansu, by w ten sposób przedstawić swoją współczesność.

#Oscar #Sundance #film muzyczny

reż. **Damien Chazelle**

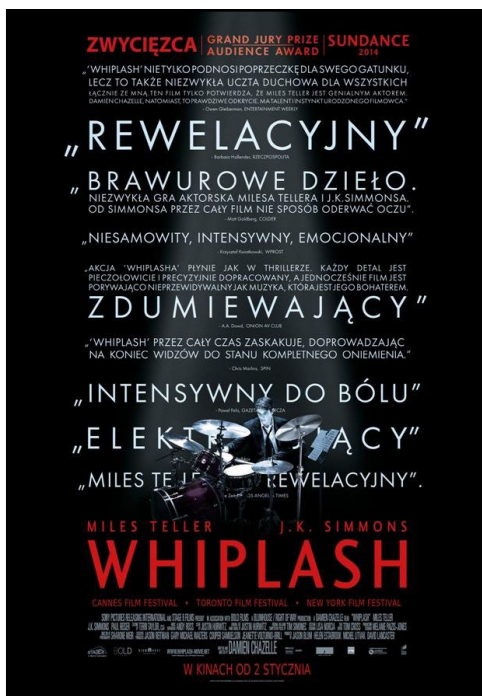
Whiplash

Kariery wielkich muzyków przypominają kariery sportowców – składają się z setek mniejszych lub większych wyrzeczeń, wymagają tytanicznej pracy i ogromnej ambicji. Aby osiągnąć sukces w jednej z tych dziedzin, należy wszystko inne zepchnąć na dalszy plan.

Whiplash opowiada o takim właśnie muzyku – niesamowicie utalentowanym i chorobliwie ambitnym, skupionym wyłącznie na staniu się wielkim perkusistą.

Andrew Neiman to 19-letni uczeń najlepszej szkoły muzycznej w USA. Ma ogromny talent i chęć do pracy, a jego marzeniem jest dostanie się do zespołu prowadzonego przez niejakiego Fletcher'a, żywą legendę, geniusza i prawdziwy postrach uczelni. Wkrótce osiąga cel, ale jest to dopiero początek tortur, jakie szykuje dla niego instruktor-tyran. Ładunek napięcia w filmie Damiena Chazelle'a jest wprost niewyobrażalny. Można odnieść wrażenie, że gdyby Miles Teller i J.K. Simmons dotknęli się, nastąpiłby niekontrolowany wybuch jakiejś kosmicznej energii. Obaj aktorzy wykonali niesamowitą pracę, by oddać na ekranie ciężar tej pełnej ekstremów relacji i udało im się to perfekcyjnie.

To ważne, by podkreślając mistrzostwo wykonania Chazelle'a i aktorską profesurę Simmonsa, nie zapomnieć



o coraz odważniej pukającym do pierwszej ligi Tellerze. **Whiplash** to bowiem trzymający w napięciu pojedynek lepszy niż te z Dzikiego Zachodu – a przecież w każdym pojedynku zderzają się ze sobą dwie siły.

#biograficzny

reż. **Tim Burton**

Wielkie oczy

Ci, którzy wielbią Tima Burtona przede wszystkim za mroczną, makabryczną stylistykę, mogą poczuć się **Wielkimi oczami** zawiedzeni. W jego najnowszym dziele mrok i czerni ustępują światłu i pastelowym barwom, ale nie jest to zmiana na niekorzyść. Wręcz przeciwnie – wizja Burtona wreszcie prezentuje się świeżo i atrakcyjnie.

Jedynym elementem łączącym ten film z dawnymi dokonaniem twórcy **Eda Wooda** są tytułowe wielkie oczy – motyw przewodni twórczości Margaret Keane, która przez lata pozostawała w cieniu swego męża, Williama. Idąc za jego radą, pozwoliła, by małżonek firmował jej obrazy swoją tożsamością. To na niego spływał cały splendor, który był efektem niesamowitej popularności obrazów Margaret, malującej dzieci o nienaturalnie dużych i smutnych oczach. Burton przedstawia życie kobiety od momentu przyjazdu do San Francisco, gdzie poznaje Williama, aż do chwili, gdy bohaterka decyduje się ogłosić światu prawdę.

Plastyczność kadrów Burtona dorównuje wysiłkom utalentowanego malarza, a doskonała gra aktorska wciąż niedocenianej Amy Adams i Christopa Waltza sprawia, że **Wielkie oczy** to dzieło niezwykle przyjemne



w odbiorze, dalekie od nudnej formy
kinowej biografii.

#Oscar #sportowy #biograficzny

reż. Bennett Miller

Foxcatcher

Choć to także kino inspirowane biografi-
ami rzeczywistych postaci, **Foxcatche-
ra** i **Wielkie oczy** dzielą lata świetlne.
Nie tylko w kwestii profesji bohaterów
– film Millera opowiada o zapaśnikach
klasycznych – ale także w sposobie
narracji i formie. Historia braci Marka
i Dave’a Schultzów to mroczne studium
szaleństwa spowodowanego manią
wielkości.

Trudno określić, kto tak naprawdę
jest głównym bohaterem **Foxcatche-
ra**. Nie wiedzą tego nawet kapituły
najważniejszych nagród filmowych,
nominując Steve’a Carrella raz za rolę
pierwszoplanową, innym razem za
drugoplanową. Rzeczywiście – aktor
wcielający się w Johna Du Ponta, eks-
centrycznego milionera inwestującego
w perspektywicznego zapaśnika,
funkcjonuje na pograniczu pierwszego
i drugiego planu. Jest czynnikiem, który
przynosi Markowi sukces, ale też po-
woduje jego porażkę.

Film Bennetta Millera jest wyjątko-
wo trudny w odbiorze. Skąpane w bru-
natnych odcieniach kadry i zdawkowe,
często bełkotliwe dialogi nie ułatwiają
percepcji, ale stanowią o największej
sile **Foxcatchera** – jego niepowtarzal-
nej atmosferze. To zdecydowanie je-
den z najcięższych gatunkowo filmów,
które brały udział w oscarowym wyści-
gu, a jednocześnie najlepszy spośród
tych, które zostały pominięte w głów-
nej kategorii.



#kino kostiumowe #film biblijny #widowisko

reż. Ridley Scott

Exodus: Bogowie i królowie

Nie można Ridleyowi Scottowi odmówić rozmachu. Epicki **Exodus** to obraz nawiązujący do najlepszych czasów widowisk z pogranicza historii i religii. Problem w tym, że czasy tego typu kinowych spektakli chyba bezpowrotnie minęły, a ich miejscem jest dziś telewizyjna ramówka.

Scott nie chciał iść tropem Williama Wylera, który, tworząc legendarnego **Ben Hura** z 1959 roku, pragnął zachować jak największą wierność historyczną. Reżyser **Gladiatora** zdecydował się na obranie innego, nieco bardziej fantastycznego kierunku – Mojżesza uczynił przyrodnim bratem faraona Ramzesa, a Boga przedstawił jako gniewnego chłopca. Christian Bale wciela się w rolę wybawiciela Żydów i proroka, któremu nie brakuje cech niemal superbohaterskich. Scott chciał w **Exodusie** umieścić jak najwięcej, dlatego sceny przedstawiające kolejne plagi przelatują przez ekran z prędkością Pendolino, a rozstąpienie się Morza Czerwonego – kluczowa dla widowiska sekwencja – wypada nad wyraz blado.

Ekranowy epos Scotta potwierdził co najmniej trzy rzeczy. Pierwsza to ta, że reżyser ten wciąż ma więcej ambicji niż intuicji, druga – że Joelowi Edgertonowi aktorsko wciąż wiele brakuje do Christiana Bale’a, trzecia zaś – że podobne widowiska bardziej efektownie prezentują się w telewizji.



#fantasy #Tolkien #widowisko

reż. **Peter Jackson**

Hobbit: Bitwa Pięciu Armii

To już koniec – Peter Jackson po 13 latach w uniwersum Tolkiena opuszcza Śródziemie. **Hobbit: Bitwa Pięciu Armii** to ostatnia odsłona opowieści o niziołkach, czarodziejach, elfach i krasnoludach. Żegnamy się z nimi z pewnym smutkiem, jednak poziom szóstego filmu tej sagi sugeruje, że raczej powinniśmy cieszyć się z jej finału.

Trzecia część hobbitowej trylogii jest po prostu maksymalizacją wszystkiego, co wydarzyło się w poprzednich rozdziałach – więcej walk, więcej statystów, więcej miłości i wzruszeń. Jest smok, są ogry, jest też czarna magia i moc, która ujawniła się już we **Władcy Pierścieni**, którego oglądaliśmy w latach 2001–2003. Słowem – wszystko to już było. Każdy wysiłek Jacksona i jego ekipy był powielaniem czegoś, co oglądaliśmy już w poprzednich filmach tolkienowskiej sagi. Oglądaliśmy, dodajmy, przez blisko 15 godzin.

Brak nominacji do Oscara za efekty specjalne to dla dzieła tak epickiego jak **Bitwa Pięciu Armii** niemal policzek. Werdykt ten jest jednak uzasadniony – finał jacksonowskiej przygody w Śródziemiu wygląda tak, jakby był tworzony na końcówce budżetu, z wykorzystaniem najtańszych możliwych rozwiązań. Choć jest to porządne widowisko, dynamiczne i wzruszające, to chyba nie tak powinno wyglądać pożegnanie z jedną z najbardziej kaskadowych sag w historii kina.

Opracował: Dawid Myśliwiec



Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

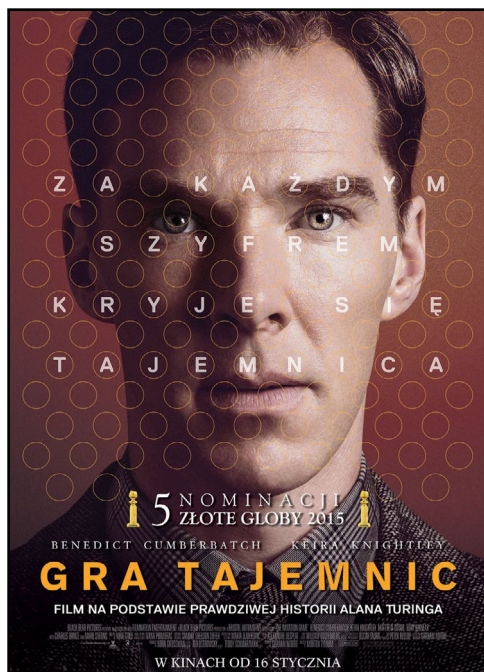
Albercik! Wychodzimy!

#Oscary #kino wojenne #biografie

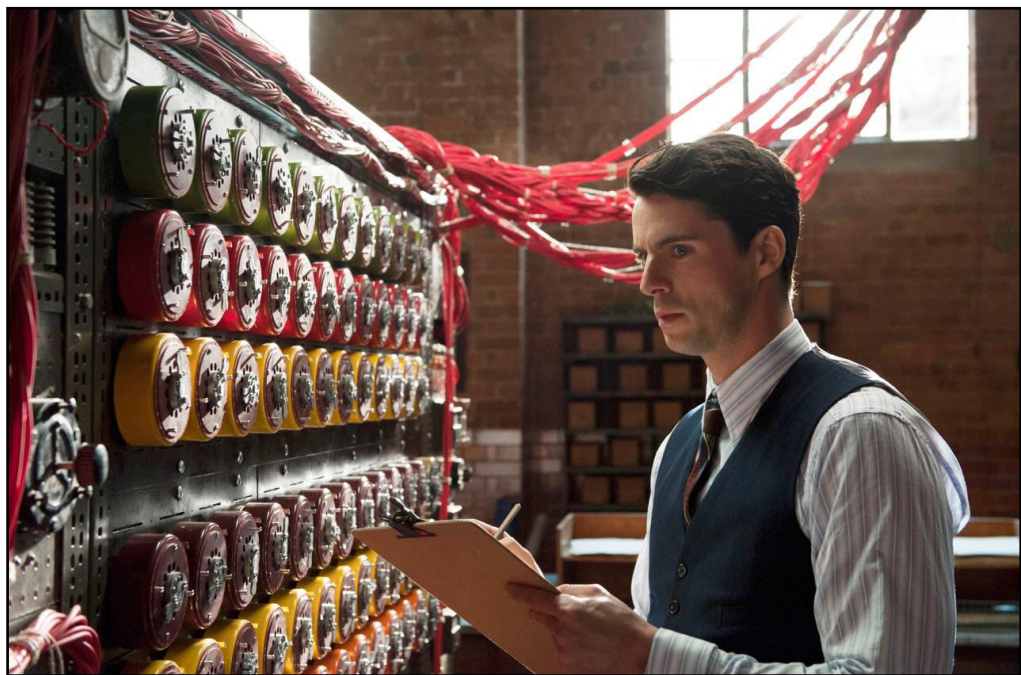
Życie poświęcone tajemnicy

Za każdym zwycięstwem w wojnie stoją ludzie, których nie widać na froncie. Nie strzelają, nie spędzają długich godzin w okopach, nie zabijają żołnierzy przeciwnika. Prowadzą za to szereg innych działań, które mają prowadzić do zwycięstwa. To nie tylko politycy, strategzy, dyplomaci, ale też mistrzowie intelektu. Tacy jak Alan Turing, Joan Clarke i Hugh Alexander, bohaterowie nominowanej do Oscara w ośmiu kategoriach **Gry tajemnic** Mortena Tylduma.

Życiorysy tej trójki i kilku innych znakomitych matematyków i logików spletają się w 1939 roku, gdy brytyjski rząd werbuje ich do prac nad złamaniem kodu Enigmy, nazistowskiej maszyny szyfrującej. Z początku szefem grupy deszyfrantów zostaje przebojowy Hugh Alexander (Matthew Goode), jednak wszyscy wiedzą, że największe szanse na złamanie niemieckiego kodu ma aspołeczny Turing. Szybko dochodzi do zmiany na stanowisku lidera – wskutek interwencji u samego Winstona Churchilla Alan wprowadza swój kodeks pracy, pozbywając się najsłabszych ogniw w swojej grupie. Po-
przez proces, który dziś nazwalibyśmy castingiem, do zespołu dołącza urodziwa i błyskotliwa Joan Clarke (Keira Knightley). Turing z miejsca nawiązuje z nią bliską relację, choć ze względu



Gra tajemnic
reż. Morten Tyldum



na swój homoseksualizm nie może zaangażować się w nią tak, jak oczekiwałaby tego dziewczyna.

Wbrew pozorom ***Gra tajemnic*** nie uderza w tony ckiego romansu – związek Alana i Joan, który o mały włos nie przeradza się w małżeństwo, ukazany jest jako burzliwe, lecz zupełnie platoniczne uczucie. On, choć bardzo by chciał, nie potrafi pokochać jej tak, jak na to zasługuje. Ona pragnie zostać przy nim, nawet jeśli oznacza to odrzucenie kobiecych potrzeb. Turing jest jednak przede wszystkim człowiekiem nauki, który skupiony jest na wykonaniu zadania. Gdy zdaje sobie sprawę, że nie będzie w stanie uszczęśliwić Joan, celowo odpycha ją od siebie, by poświęcić się pracy nad swoją misją.

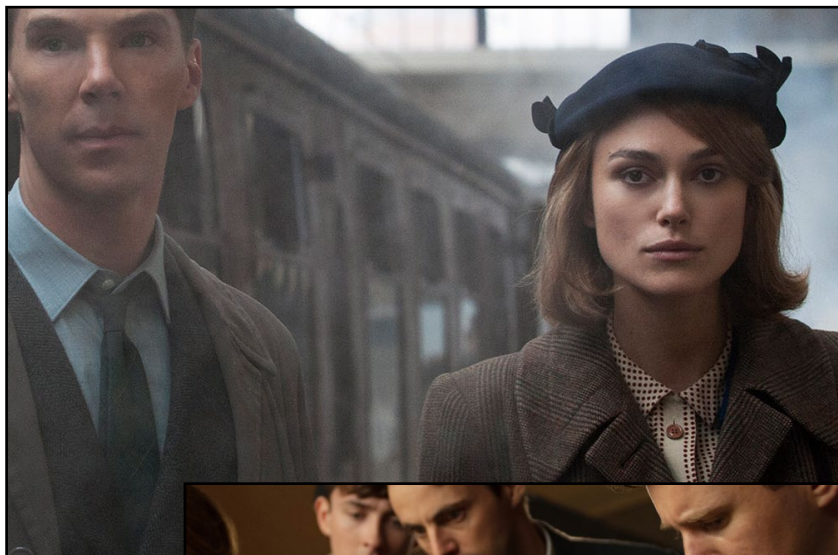
Te zaś ukazane zostały intrygująco i wiarygodnie, stając się zupełnie nowym, jakże odmiennym przedstawieniem wojennych zmagają. Waga tego zadania podkreślana jest przez wojskowych zwierzchników niemal co kilka minut, a odpowiedzialność, jaka spada na Alana Turinga, gdy kod zostaje wreszcie złamany, jest niewyobrażalna. Tyldum umiejętnie buduje dramaturgię – gdy podejmowane są najtrudniejsze decyzje, nie boi się operować zbliżeniami, uzupełniając przy tym znakomitą grę aktorską wspianą ścieżką dźwiękową Alexandre’a Desplata. Jest wzruszająco i patetycznie, ale nie może być inaczej – wszak mamy do czynienia z kinem wojennym. Przede wszystkim zaś obserwujemy jednego z jej cichych bohaterów, który

po zakończeniu wojny zostaje upokorzony i zapomniany.

Benedict Cumberbatch jest klasą sam dla siebie, a partnerująca mu Keira Knightley zaskakuje dojrzałością swej kreacji. Szczególnie ostatnie 30 minut filmu, gdy dochodzi do dwóch ważnych rozmów pomiędzy Alanem i Joan, to popis znakomitego aktorstwa dramatycznego. W **Grze tajemnic**

Morten Tyldum odkrywa dla widzów niezwykle ważną i zasłużoną dla ludzkości postać. Co ważne, robi to z szcunkiem i godnością, na jaką zasłużył ten genialny naukowiec. Gdyby nie on, prawdopodobnie nie czytaliście tego tekstu na swoim komputerze.

Dawid Mysliwiec



#adaptacja literatury #HBO #seriele

Rigor mortis

życia codziennego

Kobieta o smutnej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy Frances McDormand, niespiesznie spaceruje po lesie. W pewnej chwili zatrzymuje się pod drzewem, rozkłada koc i wyciąga z torby turystyczne radio oraz rewolwer z jedną kulą. Zanim przystawi go sobie do głowy, zacznie wspominać ostatnie 25 lat swojego życia. Tak rozpoczyna się jeden z najlepszych filmów ostatnich lat, którego nie zobaczycie w kinach, bo to mini-serial wyprodukowany przez HBO.



Olive Kitteridge

No chyba, że mieliście okazję brać udział w zeszłorocznym festiwalu filmowym w Wenecji, gdzie dzieło Lisy Cholodenko miało swoją oficjalną premierę (w telewizji zostało wyemitowane kilka miesięcy później, w listopadzie 2014 roku). To nie przypadek – ekranizacja uhonorowanej Pulitzerem powieści Elisabeth Strout jest czterogodzinny filmem, który tylko wykorzystuje formułę serialu. ***Olive Kitteridge*** pokazywano wprawdzie poza konkursem, lecz obraz i tak okazał się rewelacją festiwalu.

Próżno doszukiwać się tu fabularnych **twistów** znanych z ***Breaking Bad*** (dla niżej podpisanego najdoskonalszy serial wszech czasów), kryminalnej intrygi typowej dla ***True Detective*** czy politycznych knowań jak w ***House of Cards***. Tytułowa bohaterka nie jest bowiem ani głową rodziny trudniącą

się domową produkcją narkotyków, ani tym bardziej pomyłoną policjantką czy zimnym politykiem. Kiedy ją poznamy, Olive to „everymanka” po czterdziestce – mieszka w nadmorskiej miejscinie, jest nauczycielką matematyki i wiedzy względnie ułożone życie u boku pocziwego małżonka Henry’ego i nastoletniego syna Christophera. Ona powiedziałaby zapewne, że jej żywot jest nie tyle stabilny, co po prostu przeraźliwie nudny i pozbawiony sensu. Nie znaczy to, że nieskomplikowany, bo – jak głosi tagline serialu – nie ma czegoś takiego, jak „proste życie”.

Olive (w genialnej interpretacji Frances McDormand) jest rodzinnie obciążona depresją – jej ojciec popełnił samobójstwo, zaś ją samą dręczy małomiasteczkowa codzienność i trudy życia rodzinnego. Cały czas nosi więc

gruby pancerz, odgradzający ją od świata zewnętrznego, również od rodziny. A gdy świat ów próbuje do Olive dotrzeć, najczęściej zostaje przez nią odepchnięty suchą ironią, sarkastycznymi komentarzami i inwektywami wypowiadanymi z kamienną twarzą. Kobieta, otwarcie dumna z depresji („Idzie w parze z inteligencją” – mówi przy kolacji) na oślep ciska gromy, zaś ofiarą jej pasywnej agresji padają przypadkowi mieszkańcy prowincjonalnego Crosby i najbliżsi – dobroduszny Henry (świetny Richard Jenkins) oraz Christopher, który po latach wygarnie matce wszystko. Brak wsparcia, nieokazywanie miłości, deprecjonowanie. Syn Olive będzie już wtedy po rozwodzie i w trakcie terapii antydepresyjnej opartej, a jakże, na prozaku.





Ranimy wszak tylko tych, których kochamy, jak ujął to Palahniuk w ***Fight Clubie***. Bo Olive mimo wszystko kocha swoją rodzinę, zarówno flegmatycznego męża, przy którym trwa mimo uczuć żywionych do kolegi z pracy, jak i niesprawiającego szczególnych kłopotów wychowawczych nastoletniego (a potem dorosłego) syna. Jest też empatyczna, zwłaszcza wobec ludzi zmagających się z podobnymi problemami: czy jest to wdowiec Jack (kapitałny Bill Murray grający kolejną wersję smutnego, starzejącego się mężczyzny z ciętym poczuciem czarnego humoru), czy pogrążona w depresji matka Kevina, kolegi Christophera, czy wreszcie sam Kevin, który po latach wraca do Crosby, by wzorem swojej matki – a także ojca Olive – odebrać sobie życie. Kobieta nie tylko udaremni plan chłopaka, ale

jeszcze robi z niego przypadkowego bohatera. Jackowi zaś pomoże uporać się z pustką po śmierci żony.

Są w ***Olive Kitteridge*** subtelne aluzje społeczno-polityczne. Akcja serialu toczy się na przestrzeni 25 lat, poczynając od początku lat 80. aż po pierwszą dekadę XXI wieku. Jak w tym czasie zmieniła się Ameryka – wiedzą wszyscy. Twórcy serialu nie są jednak nachalni i tylko nadmieniają, że apteka Henry'ego została wykupiona przez wielki koncern. Światopoglądowe różnice konserwatywnego Jacka i liberalnej Olive też nie są długo prowadzone i spełniają głównie funkcje dramaturgiczne (są przy tym zabawnie ukazane, oczywiście w konwencji czarnego humoru, jakim chwilami skrzy się serial). Nie sposób jednak nie zauważyć, że Olive i Henry należą do pokolenia

beneficjentów gospodarczego boomu lat 80., zaś Christopher to już ofiara tych samych ekonomicznych przemian, które pozwoliły „dostatnio” żyć jego rodzicom. Wprawdzie syn został lekarzem i mieszka w Nowym Jorku, ale nie dość, że w suterenie, to jeszcze w nie najlepszej dzielnicy. Nawet zmiany, jakie dokonały się w USA po 11 września, mają tu swoje drobne odzwierciedlenie w scenie na nowojorskim lotnisku.

Wielka polityka i wielki świat mają jednak tylko pośredni wpływ na życie Olive, Henry’ego i Christophera. Wszyscy żyją raczej na swoich małych samotnych planetach, których orbity przecinają się podczas wspólnego posiłku, zdawkowej rozmowy o pracy, szkole czy słownych utarczek, które Olive chętnie prowokuje. Wszyscy cierpią na swój własny sposób. Nawet dramaty i problemy, które spotykają główną bohater-

kę i jej otoczenie, są zwyczajne, ludzkie, codzienne, acz niemniej tragiczne. Jak nie nuda, to cierpienie, zdaje się mówić Olive. Choć traktuje między innymi o stagnacji, choć brak tu spektakularnych zwrotów fabuły, zaś akcja opiera się głównie na błyskotliwych dialogach – serial ogląda się z ogromnym zainteresowaniem, w czym zasługa zarówno bezbłędnej obsady, jak i niespiesznie poprowadzonej, wiarygodnej historii o zwykłych ludziach.

Powolny *rigor mortis* życia codziennego został sportretowany w sposób wnikliwy i pełen sympatii dla bohaterów. Sympatii i mimo wszystko nadziei, bo przez spękaną ścianę cichej rozpaczyny nieśmiało przebijają promienie światła. „Ten świat mnie zadziwia” – mówi w pewnej chwili Olive. I dodaje, że nie chce go jeszcze opuszczać.

Maciej Kaczmarski



Wielka oskarowa *draka*

W Hollywood zawrzało. Tegoroczne nominacje oscarowe szybko okrzyknięte zostały przez media „najbielszymi nominacjami od lat”, zwrócono także uwagę na brak wyróżnień dla kobiet w kategoriach reżyserskich i scenariuszowych. W USA na poprawność polityczną chucha się i dmucha, ale czy rzeczywiście Amerykańską Akademię Filmową można uznać za rasistowską i szowinistyczną?

Ulubionymi liczbami amerykańskich mediów – tych tradycyjnych oraz tych społecznościowych – były 94, 77 i 63. Nie było chyba czasopisma czy portalu, który by ich nie przywoływał. Co oznaczają? Pierwsza to procentowy udział białych w ogólnej liczbie członków Akademii, druga – procentowy udział mężczyzn, trzecia natomiast oznacza średni wiek osoby zasiadającej w tym szacownym gronie. Krótko mówiąc, o przyznaniu oscarowych nominacji i laurów decydują głównie podstarzali, biali facci. Czy rzeczywiście ma to wpływ na brak różnorodności w gronie wyróżnionych filmowców? Socjolog odpowiedziałby – oczywiście, jako dziennikarz nato-

miast nie jestem do tego tak bardzo przekonany.

O pozytywnym lub negatywnym odbiorze dzieła filmowego od zawsze bowiem decydował gust odbiorcy. Znam kobiety zafascynowane kinem wojennym i gangsterskim oraz mężczyzn, którzy doceniają intymne, kameralne dramaty. Założenie, że wyłącznie płęć,



Selma

kolor skóry i wiek członków Akademii determinuje ich wybory, byłoby wyjątkową krótkowzrocznością. To prawda, że grono blisko 6 tysięcy wpływowych ludzi z branży filmowej należałoby odświeżyć – skoro ponad 80% stanowią osoby w wieku 50 lat i więcej, werdykty Akademii mogą być uznawane za skostniałe. Czy jednak pominięcie twórców **Selmy** jest wystarczającym powodem do wywołania tej burzy w szklance wody?

Nieobecni nie mają racji

By odpowiedzieć na to pytanie, należy spojrzeć na dużo szersze spektrum filmów, które w najrozmaitszych zestawieniach pojawiały się jako dzieła z szansami na nominacje, także w kategoriach indywidualnych. Niemal zupeł-

nie pominięte w nominacjach zostały tytuły, które często pojawiały się w tytupowaniach: **Wolny strzelec**, **Niezlomny** czy **A Most Violent Year** z doskonałymi kreacjami Oscara Isaaca i Jessiki Chastain, zaś w kategorii filmów animowanych **LEGO: Przygoda** – dla wielu główny faworyt do końcowego triumfu. Zabrakło nominacji dla Jennifer Aniston za brawurową kreację w **Cake**, a w zamian Akademia postanowiła wyróżnić – także przecież znakomitą – rolę Marion Cotillard w filmie braci Dardenne **Dwa dni, jedna noc**. Te, a także kilka innych niespodzianek, zeszły na dalszy plan z dwóch powodów – braku wyróżnienia dla Avy DuVernay i Davida Oyelowo, reżyserki i aktora pierwszoplanowego z opowiadającego o ostatnich dniach Martina Luthera Kinga dramatu **Selma**.



Dwa dni, jedna noc





Selma

Oburzona opinia publiczna podniosła larum rozmiarem odpowiadające wielkości postaci, która jest bohaterem filmu DuVernay. Oburzenie to jednak jest niezrozumiałe z prozaicznego powodu – dwa wspomniane nazwiska są zaledwie jednymi z wielu, które nie dostały zaszczytu nominacji w tym roku. Dziennikarze i widzowie zdają się zapominać, że nominacja w kategorii „najlepszy film” nie jest równoznaczna z wyróżnieniem dla reżysera, choćby ze względu na różną liczbę nominowanych w każdej z tych grup. To, że **Selma** zdobyła uznanie w absolutnie najważniejszej kategorii, nie gwarantowało wyróżnień w innych kategoriach. Dlaczego nikt nie oponuje wobec braku docenienia Clinta Eastwooda za kilkakrotnie nominowanego **American**

Snipera? Albo wobec pominięcia Damiena Chazelle, którego **Whiplash** wyróżnia kunszt dalece większy niż ten, który obserwujemy w biografii Kinga?

Podobnie rzecz ma się w kategoriach aktorskich. Jedynymi filmami, które mogłyby przynieść nominacje dla aktorów czarnoskórych, były biograficzne **Get On Up** o Jamesie Brownie i **Selma** właśnie. W przeciętnej historii o życiu króla soul kreacja Chadwicka Bosemana na pewno wypadła okazale, ale zbyt przewidywalnie. Film DuVernay, którego polska premiera nie jest niestety pewna, polega na magnetycznej roli Oyelowo, ale czy odwzorowanie postaci MLK na ekranie można ocenić wyżej niż fenomenalną rolę Jake’a Gyllenhaala w **Wolnym strzelcu**? Żaden z panów nie ma w tym roku

szans na Oscara, ale nie zdecydowały o tym względy rasowe – Akademia wybrała po prostu bezpieczniejsze, bardziej tradycyjne (może w wyjątkiem Michaela Keatona) kreacje.

Nie sposób również uznać blisko 6 tysięcy jurorów szowinistami – owszem, niedocenylenie Gillian Flynn za świetną autoadaptację **Zaginionej dziewczyny** to spore niedopatrzenie, ale już brak wyróżnienia Angeliny nie zaskakuje. Jej pracę za kamerą **Niezlomnego** należy ocenić pozytywnie, lecz nominowanie jej do Oscara byłoby sporym nadużyciem. Te dwa nazwiska, uzupełnione o Avę DuVernay, są jedynymi spośród kobiet-filmowców, których dokonania w minionym sezonie wyróżniły się na tyle, by zwrócić uwagę oscarowych typerów.

Otwarcie na świat

Zamiast odsądzać oscarową kapitułę od czci i wiary, warto zwrócić uwagę na

to, że coraz bardziej otwiera się ona na europejskie kino – i to nie tylko w kategorii „najlepszy film zagraniczny”. Wspomniane wyróżnienie dla Cotillard nie jest jej pierwszym – wcześniej zdobyła statuetkę „złotego rycerza” za główną rolę w **Niczego nie żałuję**. I choć od tamtej pory zrobiła oszałamiającą wręcz karierę w Hollywood, kolejny dowód uznania ze strony Akademii przyszedł dopiero po roli u europejskich specjalistów od kina społecznego – braci Jean-Pierre’a i Luka Dardenne’ów. Trudno jednak oczekiwać, by po raz drugi udało jej się sięgnąć po najwyższy laur – Julianne Moore, wyróżniona za rolę w **Still Alice**, wydaje się być poza konkurencją, co potwierdzają kolejne prestiżowe nagrody przyznawane jej w ostatnich tygodniach.

Z polskiej perspektywy najlepszym możliwym dowodem na poszerzające się horyzonty członków Akademii jest wyróżnienie dla Łukasza Żala i Ryszarda



Łukasz Żal i Ryszard Lenczewski odpowiedzialni za zdjęcia do *Idy*



da Lenczewskiego za wspaniałe zdjęcia do *Idy*. To rzadka sytuacja, gdy w kategoriach zwykle zdominowanych przez tytuły amerykańskie można zobaczyć twórców filmów nieanglojęzycznych. Artyzm filmu Pawła Pawlikowskiego nie umknął jednak uwadze kapituły, która potwierdziła werdykty jury Camerimage i Europejskiej Nagrody Filmowej. Wygraną polskiego duetu operatorskiego należałoby rozpatrywać nie w kategorii niespodzianki, ale ponadczasowej sensacji. Jednak nawet wobec niewielkiego prawdopodobieństwa takiego scenariusza wypada docenić Akademię za ten gest w kierunku polskiej i europejskiej kinematografii.

Oscary alternatywne

W tegorocznych nominacjach pominiętych zostało tyle tytułów i nazwisk, że z powodzeniem można byłoby ułożyć zupełnie odmienne grono nominowanych w przynajmniej kilku kategoriach. Zamiast więc przygotowywać prognozy odnośnie zwycięzców, w Alterpop postanowiliśmy zaproponować alternatywne nominacje w kategoriach: najlepszy film, reżyser oraz dla aktorów i aktorek pierwszo- i drugoplanowych.

Najlepszy film:

A Most Violent Year

(JC Chandor)

Foxcatcher

(B. Miller)

Inherent Vice

(P.T. Anderson)

Into the Woods

(R. Marshall)

Mapy gwiazd

(D. Cronenberg)

Nieztłomny

(A. Jolie)

Zaginiona dziewczyna

(D. Fincher)

Zniknięcie Eleanor Rigby: Oni

(N. Benson)

Najlepszy reżyser:

Ned Benson

(*Zniknięcie Eleanor Rigby: Oni*)

JC Chandor

(*A Most Violent Year*)

Ava DuVernay

(*Selma*)

David Fincher

(*Zaginiona dziewczyna*)

Christopher Nolan

(*Interstellar*)

Najlepszy aktor:

Ralph Fiennes

(*Grand Budapest Hotel*)

Jake Gyllenhaal

(*Wolny strzelec*)

Bill Murray

(*St. Vincent*)

David Oyelowo

(*Selma*)

Channing Tatum

(*Foxcatcher*)

Najlepsza aktorka:

Amy Adams

(*Wielkie oczy*)

Jennifer Aniston

(*Cake*)



Cake

Jessica Chastain

(Zniknięcie Eleanor Rigby: Oni)

Jenny Slate

(The Obvious Child)

Mia Wasikowska

(Mapy gwiazd)

Najlepsza aktorka drugoplanowa:

Jessica Chastain

(A Most Violent Year)

Carrie Coon

(Zaginiona dziewczyna)

Viola Davis

(Zniknięcie Eleanor Rigby: Oni)

Rene Russo

(Wolny strzelec)

Naomi Watts

(St. Vincent)

Najlepszy aktor drugoplanowy:

Adrien Brody

(Grand Budapest Hotel)

Nelsan Ellis

(Get On Up)

Tyler Perry

(Zaginiona dziewczyna)

Matthias Schoenaerts

(The Drop)

Christoph Waltz

(Wielkie oczy)

Dawid Myśliwiec



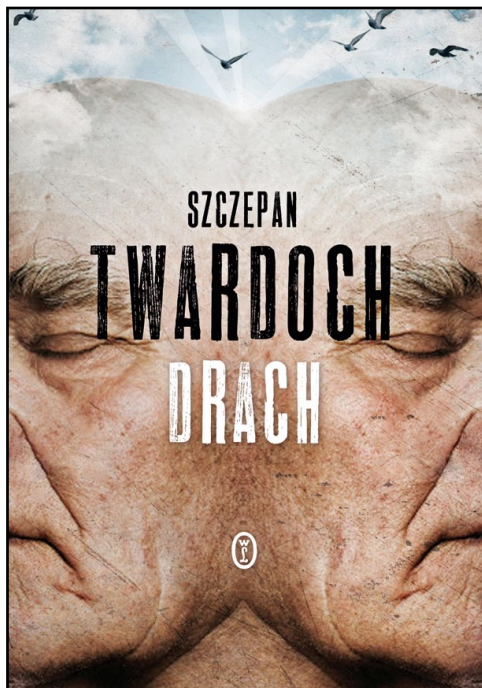
PREMIERY *książkowe*

#powieść #Śląsk

Szczepan Twardoch

Drach

Drach jest sagą, w której splatają się losy rodziny Józefa Magnora z losem ziemi, na której mieszka. Górny Śląsk na początku ubiegłego wieku był miejscem, gdzie ścierały się wpływy niemieckie, polskie oraz duma i buta rodowitych Ślązaków. Dramat Śląska nie polegał tylko na tym rozdzieleniu czy nawet rozstrojeniu. Wielość wątków sprawia, że **Drach** nazywany jest powieścią totalną. W książce został opisany kawał historii Polski. Równie ważne, a na pewno bardziej atrakcyjne dla czytelnika, jest to, że autor wziął pod lupę losy jednostki. Pokazał, jak silne jest powiązanie tego, kim jesteśmy, z tym, skąd pochodzimy i od kogo pochodzimy. Współcześnie żyjący potomkowie Magnora popełniają bowiem podobne błędy jak ich przodkowie. Historia zatacza koło. Wszechobecny i wszechwiedzący narrator nie pozostawia jednak wątpliwości, że to wszystko, czego doświadczają ludzie i narody, tak naprawdę niewiele się liczy w ogólnym rozrachunku. Przejmująca i wymagająca powieść dla wyrobionego czytelnika. Książka, w której nie ma banałów. Warta każdej poświęconej jej minuty.



#biografia #tajemnica

Remigiusz Grzela

Wybór Ireny

Bohaterka jest jedna, tożsamości wiele. Irena Gelblum, Irena Waniewicz, Irena Conti, a także Irka Wariatka, nieustraszona działaczka ŻOB-u. Kobieta zagadka. Kobieta, która nie tylko zamazywała swoją przeszłość, lecz także wypierała się swojego pochodzenia i grubą kreską oddalała się od lat wojennych. Robiła wszystko, by nikt nie skojarzył Irki powojennej z dziewczyną z czasów okupacji. Irena Conti, bo tak została zapamiętana, zapewne była ciekawą osobą. Książka na jej temat powinna być dopracowana w każdym szczególe lub w ogóle nie powstać. Wadą tej pozycji jest to, że za dużo się w niej cytuje, a za mało wyciąga wniosków. Irena ginie w licznych dygresjach, cytowanych prywatnych listach i opowieściach o działalności okupacyjnej. Irena Conti nawet po śmierci nie dała sobie wydrzeć wszystkich swoich tajemnic. Przede wszystkim wciąż nie wiadomo, czemu służyły ciągłe zmiany tożsamości.

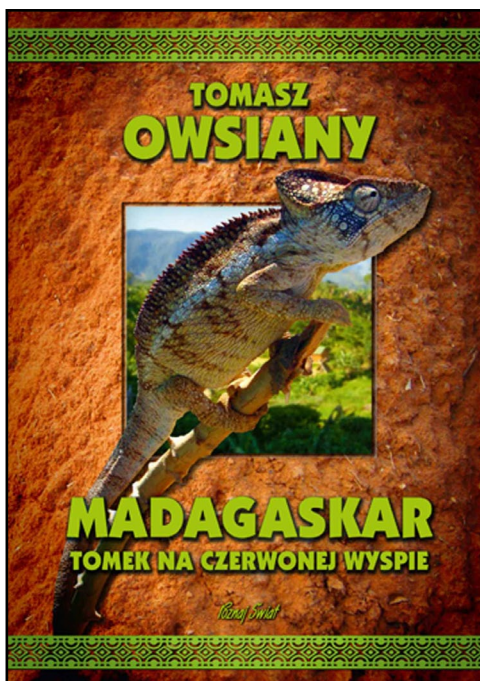
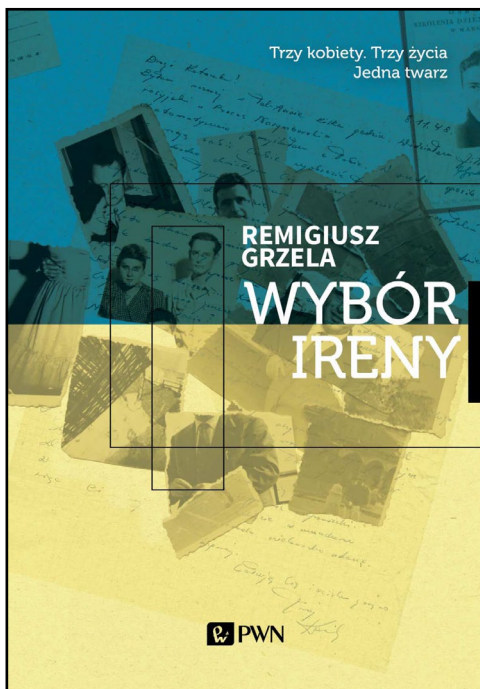
#podróż #Afryka

Tomasz Owsiany

Madagaskar.

Tomek na czerwonej wyspie

Ciekawe, jak Tomek wyobrażał sobie Madagaskar, zanim, pod wpływem opowieści polskiego misjonarza, wyjechał do Afryki? Zamieszkał tam w oddalonej od dużych ośrodków miejskich katolickiej misji, gdzie nauczał języka francuskiego. Jego książka opowiada



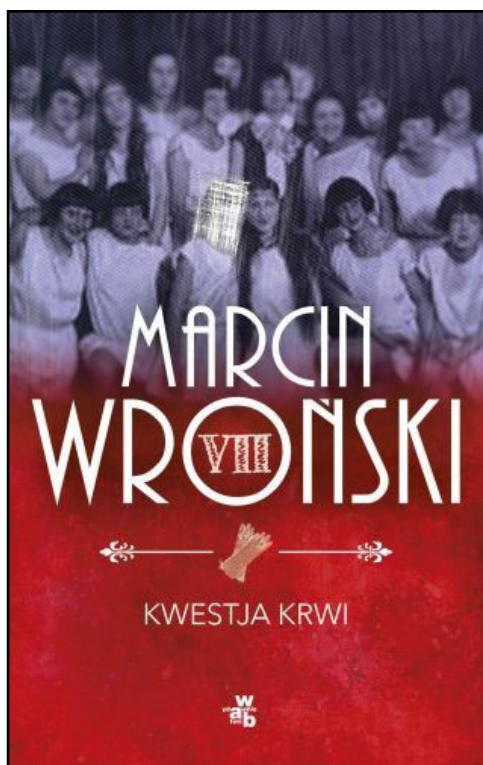
o wszechobecnym zaskoczeniach – upałem, brudem, zaniedbaniem oraz nachalnością tubylców. Dla równowagi mówi też o pięknie przyrody i zachwycie egzotyką. Jego opowieść o Madagaskarze to zapis wielu dziesiątek obserwacji ilustrujących zachowania, obyczaje, kulturę ludów zamieszkujących ten kraj. Dużo w niej fragmentów wywołujących dość silne uczucia – zaskoczenia, żalu, rezygnacji. Rzecz warta polecenia jako odmiana od sielско-pocztówkowych relacji z wypraw. Wydanie zawiera dużo zdjęć ilustrujących poszczególne rozdziały.

#kryminał #powieść

Marcin Wroński

Kwestja krwi

Kwestja krwi to kolejna część jednego z najdłuższych polskich cykli kryminalnych z postacią Zygi Maciejewskiego. Powieść może być czytana poza cyklem. Miejszem akcji jest Zamość tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Zagadka kryminalna rozwiązywana przez Maciejewskiego jest dość nietypowa. Dochodzenie opiera się bowiem na znalezionej w krzakach zakrwawionej damskiej rękawiczce. Wątek kryminalny jest dobry, ale ten społeczno-obyczajowy jest jeszcze lepszy. Wroński kreśli przekonujący obraz Polski w pierwszych latach po oswobodzeniu się spod zaborów. Nie jest to kraj ani piękny, ani zamożny, ani szlachetny. Pomiedzy warstwami społecznymi jest istna przepaść, a największym, choć wzgardzanym, bogactwem Polski międzywojennej jest jej barwna wielokulturowość. Jeśli do tak mocno osadzonej w realiach powieści



dodamy intrygujący wątek kryminalny i sprawnie nakreślone, wiarygodne postacie, to otrzymamy wciągającą książkę, którą warto przeczytać.

#magia #duchy

Przemysław Semczuk

Magiczne dwudziestolecie

W dwudziestoleciu międzywojennym do Polski dotarła moda na spirytyzm, wywoływanie duchów, jasnowidzenie itp. W całym kraju powstawało mnóstwo kółek spirytystycznych. W seansach uczestniczyli m.in. Boy-Żeleński, Witkacy, Ignacy Paderewski i marszałek Piłsudski. Autor tej publikacji wybrał najpopularniejsze trendy, najbardziej znanych badaczy spirytualizmu oraz osoby parające się jasnowidztwem i wywoływaniem duchów. Zacytował protokoły licznych eksperymentów mających na celu rozpoznanie prawdziwych mediów i skompromitowanie oszustów zarabiających na naiwności ludzkiej. Przede wszystkim jednak dał do myślenia sceptykom. Najbardziej spektakularne rozdziały opisują eksperymenty i zdolności paranormalne sławnych mediów. Wśród nich jest Stefan Ossowiecki, jasnowidz z silnymi zdolnościami telepatycznymi, który zasłynął pomagając policji w poszukiwaniu osób zaginionych. Rafał Schermann, który z dostarczonej próbki piśma potrafił określić charakter, wygląd człowieka i odczytać jego przeszłość i przyszłość. **Magiczne dwudziestolecie** to zaskakująco ciekawa lektura. Liczne ilustracje oraz zdjęcia z wywołanymi duchami, czynią książkę jeszcze atrakcyjniejszą.



Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrzą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy

#moda #wywiady

Agnieszka L. Janas

Elegantki. Moda ulicy lat 50. i 60.

XX wieku

Polki uważane są na świecie za kobiety eleganckie, zadbane, przykładające sporą wagę do wyglądu. Chociaż czasy powojenne nie rozpieszczały pań, to bohaterki tej książki świetnie sobie radziły. Opowiadają o tym, jak się ubierały w czasach, gdy w sklepach straszyły puste półki. Wśród rozmówczyń są gwiazdy sceny: Beata Tyszkiewicz czy Krystyna Mazurówna oraz panie, które nie miały nic wspólnego z mediami – pielęgniarzka, urzędniczka, gospodyni domowa. Łączył je wspólny mianownik – wyróżniały się z tłumu strojem i dbałością o wygląd. Z rozmów jasno wynika, że ubrania zajmują w ich życiu ważną rolę. Z sentymentem i godną podziwu dokładnością opisują marszczenia, zakładki, pliski, kolory i fakturę materiału w swoich strojach z lat 50. i 60. Pamiętają, kto uszył strój, w jaki sposób dokonały przeróbek i jakie zrobiły wrażenie na innych. Rozmowy ilustrowane są fotografiami z tamtej epoki oraz krótkimi biogramami. Godne polecenia i niezwykle ciekawe. To nie tylko książka o modzie, lecz także obraz PRL-u widzianego oczami kobiet, które chciały czuć się piękne i zadbane.

#powieść #dla dzieci

Marcin Prokop

Jego wysokość Longin

Jakim chłopakiem był Marcin Prokop? Bez wątpienia wysokim, stąd wzięła się jego ksywka Longin. Longin mieszka



z rodzicami i młodszym bratem. Ma do dyspozycji swój pokój, który zaradny ojciec „wykroił” z kuchni. Ma kilkoro przyjaciół, z którymi może bawić się po szkole. Ma również dziadków i wujka. Jego dzieciństwo jest całkiem zwyczajne. Niezwyczajne są czasy, w których chłopak dorasta. Autor tłumaczył, iż książka powstała po to, by mógł wyjaśnić córce, czym było dorastanie w latach 80. W samej powieści nie ma nawiązań do polityki, lecz są tropy, które pokolenie czterdziestolatków wyłapie w mig. Dzieciom trzeba parę rzeczy wyjaśnić. Książka dla dzieci o dorastaniu w PRL-u musi opowiadać o dziecięcych zabawach i ich marzeniach. **Jego wysokość Longin** to sympatyczne czytadło dla dzieci i starszych. Jest świetnym punktem wyjścia do rozmów o zabawach w czasach, gdy nie było komputerów, w telewizji działały tylko dwa kanały i nikt nawet nie marzył o telefonach komórkowych. Warto.

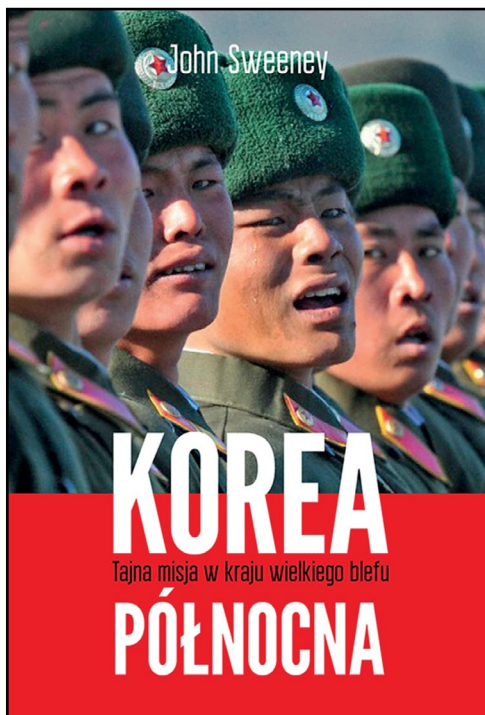
#Korea #reportaż

John Sweeney

Korea Północna.

Tajna misja w kraju wielkiego blefu

Korea Północna, za sprawą dynastii Kimów, pozostaje ciemną plamą na mapach. Dziennikarz i pisarz, John Sweeney, podając się za naukowca, wybrał się do tego owianego złą sławą kraju. Mimo usilnych starań, dowiedział się niewiele więcej niż dociera do nas z przekazów medialnych. Ujrzał jednak wszechobecne przejawy kultu Kimów i maszynę państwa nieliczącego się ze swoimi obywatelami. Miejscami surrealistyczna relacja z pobytu



w Korei przeplata się z rozdziałami przedstawiającymi kraj z perspektywy uciekinierów. Autor dociera również do osób, które w Korei spędziły więcej czasu. W ten sposób książka zawiera rozdziały o różnym stopniu oddziaływania na czytelnika. Podróż Sweeneya nie jest odkrywczą ani demaskatorską. Większość zgromadzonych przez autora informacji jest ogólnie dostępna – wystarczy poszukać. A jednak autor dokonał wyjątkowo ciekawej kompilacji. Zestawienie tego, co powszechnie wiadomo, z rewelacjami zasłyszczanymi podczas rozmów, daje szeroki ogląd na sytuację mieszkańców tego kraju.

Opracowała: Agnieszka Kalus

Czytasz za darmo?

Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma! Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją! **To tylko 1.23 zł**, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** (1.23 zł)





fragment

Katarzyna Bonda

Maszyna do pisania. Kurs kreatywnego pisania

Wydawnictwo Muza, premiera 4 lutego

Od autorki do autorów

Piszesz, więc jesteś

Moja mama marzyła, żebym została nauczycielką. Ponieważ bunt to moja prawdziwa natura, broniłam się przed tym pięknym zawodem rękami i nogami. Nigdy, przenigdy. Nie! Odkąd pamiętam, zawsze dużo czytałam i próbowałam pisać. Nie była to poza. Nigdy w życiu nie robiłam nic na pokaz, tylko po to, żeby dobrze wyglądało. Pisząc, lepiej komunikowałam się ze światem i ze sobą, niestety. Od zawsze wiedziałam, że chciałabym żyć z pisania, być pisarką. Na początku jednak nikomu się do tego nie przyznawałam. Wydawało mi się to niemożliwe, beczelne i zbyt nieprawdopodobne. Przecież pisarz to ktoś bardzo mądry, doświadczony (koniecznie powinien mieć brodę). Tak myślałam jako dziewczętnastolatka, kiedy przyszedł czas wyboru zawodu.

Dziś uważam, że za wcześnie każą nam wybierać własną drogę. Moja de-

cyzja była półśrodkiem. Zdecydowałam się na dziennikarstwo prasowe, bo liczyłam na zdobycie doświadczenia i warsztatu. Dostałam się na studia dziennikarskie na UW, podobnie jak na prawo i polonistykę. Prawo brzmiało zbyt poważnie (a ja bynajmniej aż tak poważna nie jestem), polonistyka łączyła bibliotekarstwem i nauczycielstwem. Wybór był tylko jeden. Mimo protestów rodziców (ojciec narzekał, że z moim charakterem zaraz dam się wysłać na wojnę, gdzie mnie odstrzelą) już na początku przeniosłam się na studia zaoczne, żeby móc pracować w prasie. Zawsze w to wierzyłam: tylko praktyka czyni pisarza.

Nie wiem, ile tysięcy tekstów napisałam. Ale tworzyłam je w różnych, często ekstremalnych warunkach, na swoich i cudzych komputerach, ręcznie, ołówkiem, piórem. Ile kartek zmarnowałam, ile plików skasowałam? Każdy z piszących wie, że używanie kosa na śmieci to podstawa pracy w tym



zawodzie. Dziś jestem przekonana, że każde napisane słowo było potrzebne. To niezbędne ćwiczenie warsztatu. Zanim bowiem zostaniesz artystą, musisz być doskonałym rzemieślnikiem. Nie odwrotnie!

Przez ponad trzynaście lat trenowałam pióro w prasie. Byłam spełnioną i dobrze opłacaną dziennikarką największych i najbardziej prestiżowych polskich tytułów. Kiedy osiągnęłam dziennikarski szczyt i powinnam była odcinać kupony od swojej kariery, zniszczyłam wszystko i odeszłam donikąd, żeby wreszcie robić to, o czym zawsze marzyłam: pisać książki. Wszyscy kręcili kółka na czole, kiedy temat rozmowy schodził na moją decyzję. Tylko kilka osób w Polsce żyje z książek. Bonda wróci z podkulonym ogonem – mówili. A jednak przetrwałam. Pierwsze pięć lat nie było łatwe. Debiutanckiej książki nikt nie chciał wydać przez prawie rok. Ale nie przejmowałam się, pisałam kolejną. Zaczęłam też studia scenariopisarskie na łódzkiej filmówce. W Polsce nadal uważa się, że pisanie to wyłącznie dar od Boga, i niewiele jest miejsc, gdzie można uczyć się opowiadać. Po debiucie od razu podpisałam umowę na kilka kolejnych pozycji i już nigdy więcej nie miałam problemów z wydaniem czegokolwiek. Czas mijał, a ja pisałam dalej. Już nie tylko dla siebie, lecz dla czytelników, którzy domagali się kolejnych książek. Wreszcie mnie doceniono, czytano (to znaczy kupowano) i cytowano w innych publikacjach. Sprzedałam trochę praw do moich książek producentom filmowym i telewizyjnym. Napisałam wiele tekstów, za które mi zapłacono, a które

nigdy nie zostały wydane ani zrealizowane. Dziś, kiedy na rynku jest już wiele moich publikacji, wydawcy sami dzwonią i pytają, czy nie mam czegoś nowego. Zdarzały się także próby nietetycznego przejścia mnie, choć miałam podpisane umowy z innym wydawcą. Odmówiłam, ale to utwierdziło mnie w przekonaniu, że jednak mi się udało. Bo jeśli jest się zdeterminowanym i uparcie dąży do swoich celów, można pokonać wszelkie trudności. Ważne jest jednak uświadomienie sobie, że jedna książka nie czyni z autora pisarza. Nawet po opublikowaniu wielu pozycji należy wciąż być czujnym i starać się pisać coraz lepiej.

Pisarzem jest się z serca, z trzewi. To praca, ale przede wszystkim sposób życia. Nie wybiera się tego zawodu, by chwalić się znajomym nowym woluminem, choć ich zachwyt jest budujący. Kiedy wychodzi moja nowa książka, trwają już zaawansowane prace nad następną. Można to porównać do strategii prowadzenia wojen. Jedna bitwa nie zapewnia lauru zwycięzcy na zawsze. Każda kolejna powieść to nowe wyzwanie, wyprawa w nieznane. Cel tej podróży jest oczywisty, lecz nigdy nie wiadomo, co wydarzy się po drodze. Trzeba się w nią wybrać z ostrożnością sapera i doświadczeniem dobrego rzemieślnika, który swoje artystyczne zapędy trzyma na krótkiej smyczy, a to nawet bardzo doświadczonego autora nie stawia wyżej od debiutanta. Jasna rzecz, że ten rodzaj roboty uzależnia. Daje tak wiele satysfakcji, że trudno jest przestać. Tylko ludzie słabej woli się poddają. Ci, którzy nie rozumieją, że pisanie to wybór rodzaju egzystencji, a nie kaprys artysty. Mnie nie



powstrzymały bieda, macierzyństwo, rozpad związku, wrodzone lenistwo ani nawet niski poziom czytelnictwa w Polsce, w który zresztą nie wierzę. Trwałam przy swoim i dziś mogę z dumą powiedzieć, że to mój kolejny zawód. Determinacja oraz ciągły rozwój to podstawa tej działalności. Talent jest konieczny, ale nie wystarczy, jeśli nie ma się mocnego przekonania o słuszności podjętej kiedyś decyzji.

Dziś mam tyle pracy, że mój terminarz pęka w szwach. Nowe projekty jednocześnie rosną w mojej głowie i dojrzewają dotąd, aż będę gotowa, by się nimi zająć. Modłę się, by mieć siłę i zdrowie, by zdążyć je opowiedzieć. Poza książkami pisałam też scenariusze filmowe (fabularne i dokumentalne), sztuki teatralne, program telewizyjny, kilka seriali. Ale pisanie dla filmu nie jest mi tak bliskie jak literatura. To dwie odrębne formy działalności. Scenariusz filmowy czy tekst dla teatru mają wartość usługową wobec dzieła, które tworzy na jego podstawie reżyser. Powieść zaś lub książka dokumentalna to dzieło zamknięte i w pełni autorskie. Pisarz ma całkowity wpływ na jego budowę, przekaz i kompozycję. Jeśli książka będzie dobra – to wyłącznie jego zasługa, jeśli posiada mankamenty – winę autor musi wziąć na siebie i wyciągnąć z tej lekcji stosowne wnioski. Niezwykle rzadko zdarza się człowiek, który w jednej dziedzinie (scenariopisarstwo) i w drugiej (literatura) odnalazł się równie doskonale. O tym więcej w tomie II Maszyny do pisania, w rozdziale Pisanie dla filmu.

Tymczasem – kiedy wreszcie odnalazłam swoją pisarską tożsamość –

okazało się, że marzenie mojej mamy także się ziściło. Jej córka została nauczycielką. Tak, uczę ludzi pisać. Lubię dzielić się swoją wiedzą, pomagać adeptom, wydobywać ich z odmętów grafomanii. Spokojnie, to nie przytyk, gdyż każdy pisarz winien stale uważać, by zbyt nie „odpłynąć” od meritum. Nie piszę za moich podopiecznych, nie redaguje, nie narzucam im swojej percepcji świata. Staram się jedynie – jak akuszerka – pomagać w ich „literackich porodach”. Bo pisanie książek to nie poezja, gdzie pocałunek muzy zapładnia twórcę do napisania wiersza, iluminacja zaś jest cenniejsza niż warsztat. Pisanie książek to ciężka, także fizyczna, praca. By napisać kilkaset stron powieści, trzeba mieć naprawdę twardy koniec kręgosłupa, a przy tym pisanie nadal pozostaje działalnością artystyczną. Moim zdaniem to właśnie literatura – a nie film, jak przekonywał towarzysz Lenin – jest królową sztuk. I choć kiedyś sama nie wierzyłam, że to ma sens, bojkotowałam, wyśmiewałam, kpiłam, dziś odszczekuję publicznie: pisanie można się nauczyć. Nawet trzeba się uczyć! Pisarz powinien wciąż się kształcić, rozwijać jako człowiek, zdobywać nowe doświadczenia. Dzięki temu jego książki będą coraz lepsze.



Jak zostać... czytelnikiem

Jeśli posiadacie konto na jakimkolwiek portalu społecznościowym, zauważyliście na pewno, że zapanowała moda na czytanie. Wiele osób podejmuje się wyzwań czytelniczych, idąc śladem swoich znajomych lub ikon popkultury, które również deklarują, że przeczytają 52 książki w 2015 roku.

Moda, jak to moda, pewnie szybko przeminie ze szkodą dla czytelnictwa i dla tych, którym zabrakło wytrwałości.



Jak wyrobić w sobie nawyk czytania? Jak sprawić, by przelotna moda stała się stylem życia? Jak i gdzie znaleźć czas na czytanie i czytać więcej? Oto kilka rad od osoby, która każdego roku czyta więcej niż jedną książkę tygodniowo.

Przekonaj się do audiobooków.

Spędzasz dużo czasu w zatłoczonych środkach komunikacji? Biegasz? Wykonujesz prace w domu lub w ogrodzie? Ręce i nogi masz zajęte, ale uszy wolne. Załóż więc słuchawki i zabierz ze sobą odtwarzacz mp3 lub smartfona. Zamiast muzyki, posłuchaj lektora czytającego wybraną przez siebie książkę. A jeśli jesteś kierowcą, radio samochodowe możesz od czasu do czasu zastąpić audiobookiem.

Noś książkę przy sobie

Może być w formie tradycyjnej, ale jeszcze lepiej skorzystać z jednej z licznych aplikacji na telefon – z telefonem się nie rozstajesz, a książka nie zawsze zmieści się w torebce, kieszeni czy plecaku.

Książka (w dowolnej formie) umili ci czas w poczekalni u dentysty, w kolejce w banku czy podczas nieoczekiwanej przerwy w twoim napiętym planie dnia. Czas, który spędziłbyś, utyskując na niegodności, minie szybko i przyjemnie.

Wyłącz telewizor

To największy wróg czytania. Nie stosuj jednak terapii wstrząsowej. Umów się ze sobą lub z rodziną, że jeden wieczór w tygodniu poświęcicie na swoje zainteresowania niezwiązane z oglądaniem seriali. Usiądź z wybraną książką, zrób sobie coś dobrego do jedzenia i picia i ciesz się czasem tylko dla siebie.

Książki wybieraj z głową

Czytaj to, co ci się podoba, a nie to, co akurat jest modne. Na początek nie rób ambitnych planów, nie zakładaj, że uda ci się od razu przebrnąć przez *Ulissesa* i *Trylogię* Sienkiewicza. Wręcz przeciwnie, wybieraj lektury niezbyt grube, kryminały, romanse czy powieści obyczajowe. Czytanie ma być przede wszystkim przyjemnością.

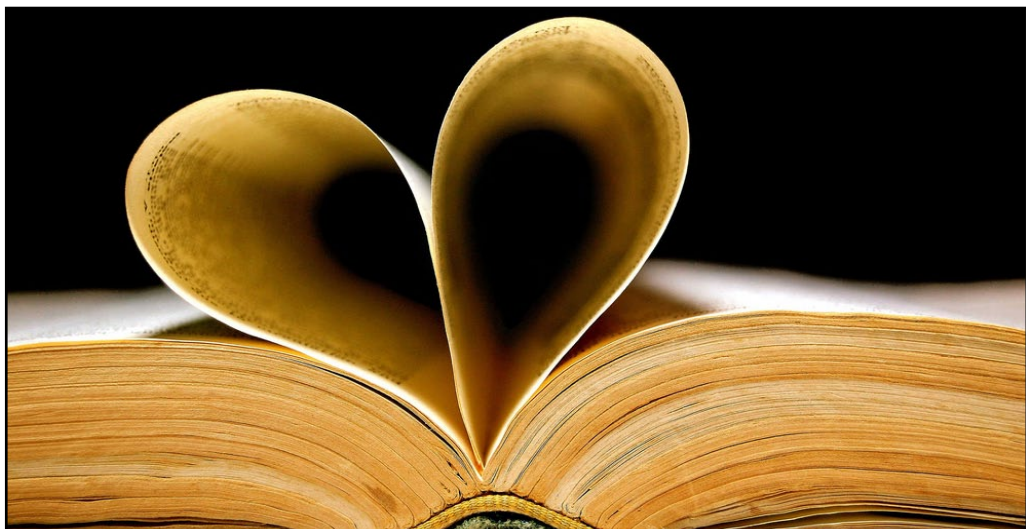
Z biegiem czasu, gdy rozsmakujesz się w lekturze, zmienią się pewnie twoje gusta literackie oraz długość czasu koncentracji.

Zapisz się do biblioteki

Zamiast narzekać na ceny książek, skorzystaj ze zbiorów bibliotecznych. Nic nie stracisz, gdy książka ci się nie spodoba. Za radą bibliotekarza lub innych czytelników możesz natrafić na książki, których sam byś sobie nie wybrał. A może przy twojej bibliotece działa klub czytelniczy? W grupie zawsze różniej.

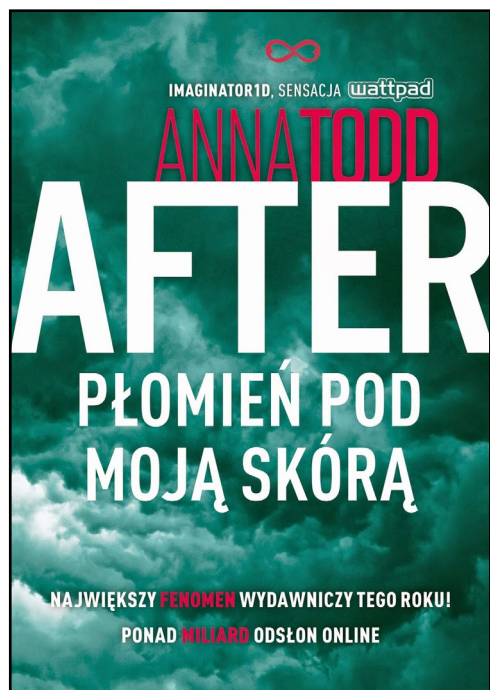
Nie musisz stosować się od razu do wszystkich tych punktów. Wystarczy, że spróbujesz zmienić swój rozkład dnia, wcielając w życie choć jedną z rad. Nie poddawaj się po pierwszej źle dobranej książce. Mam nadzieję, że szybko odkryjesz, iż czytanie dla przyjemności nie jest czymś, co istnieje tylko w legendach. Jeśli ktoś chce czytać, to zawsze wygospodaruje chwilę na tę rozrywkę.

Agnieszka Kalus



Co będziemy czytać w 2015 roku

Chociaż w Polsce narzeka się na stan czytelnictwa, polityka wydawnictw książkowych nie potwierdza tendencji spadkowej. Wydaje się u nas mnóstwo książek rodzimych pisarzy oraz przekładów międzynarodowych bestsellerów. Jak nie zgubić się w labiryncie nowych książek? Oto krótki przewodnik po najciekawszych premierach 2015 roku.



Anna Todd

After

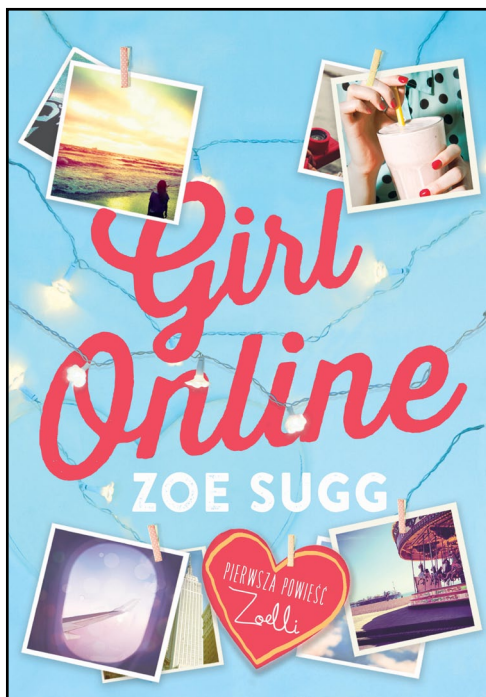
Dla młodzieży:

After Anny Todd to seria publikowana w odcinkach w serwisie Wattpad, gdzie doczekała się ponad MILIARDA odsłon, a pod każdym rozdziałem ukazały się dziesiątki tysięcy komentarzy. W Polsce można przeczytać fanowskie tłumaczenie **After**, które ma już ponad 6 milionów odsłon i tysiące komentarzy. W październiku 2014 roku prawa do ekranizacji serii kupił Paramount. **After** jest historią pierwszej prawdziwej miłości i namiętności, zmysłową opowieścią o sile wyniszczającego uczucia. Część pierwsza będzie nosiła podtytuł **Płomień pod moją skórą**.

To nie jest książka Keri Smith. Autorka bestsellera **Zniszcz ten dzieńnik** powraca z nową pozycją uczącą kreatywności i nieszablonowego myślenia. Zachęca, by używać wyobraźni i stawiać czoło wyzwaniom. Składa się

z zadań, które należy wykonać, aby wyrazić siebie poprzez uczucia, emocje i stosunek do otaczającego świata. Polecenia mają charakter artystyczny, eksperymentalny i performerski. Można je wykonywać indywidualnie lub w grupie.

Girl Online Zoe Sugg znanej jako Zoella. Autorka jest 24-letnią brytyjską vlogerką. Jej vlogi poświęcone urodzie, modzie, stylowi życia subskrybuje ponad 9 milionów użytkowników YouTube'a. **Girl Online** to najszybciej sprzedająca się książka w Wielkiej Brytanii w 2014 roku. Powieść porusza niektóre z najważniejszych problemów, z jakimi spotykają się dzisiejsze nastolatki. Autorka zachowuje przy tym lekki ton narracji zwyczajnej dziewczyny.



Zoe Sugg
Girl Online



Zoella



Dla miłośników kryminałów:

Czwarty tom **Millennium** Stiega Larssona to chyba najbardziej oczekiwana powieść kryminalna na świecie. Projekt kontynuacji sagi powierzono jednej z najciekawszych osobowości literatury szwedzkiej – Davidowi Lagercrantzowi. Szczegóły tego projektu wciąż objęte są tajemnicą.

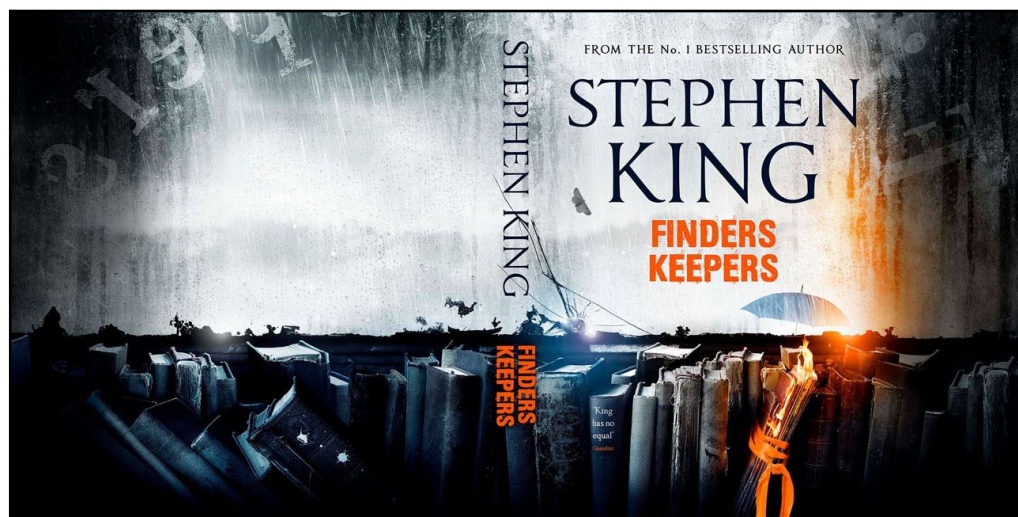
Znalezione niekradzione Stephen King. Druga część cyklu kryminalnego zapoczątkowanego **Panem Mercedesem** z detektywem Billem Hodgesem w roli głównej. Na razie wiadomo, że **Znalezione niekradzione** opowiada o morderstwie popełnionym na pisarzu oraz zaginięciu jego zapisków.

Okularnik Katarzyny Bondy – drugi tom tetralogii o Saszy Załuskiej, tym razem poświęcony żywiołowi ziemi. Pierwsza część **Pochłaniacz** spodobała się szerokiej rzeszy czytelników oraz krytyków literackich.

Dla zafascynowanych fantastyką:

Futu.re Dmitry Glukhovsky. Po długim milczeniu powraca ceniony pisarz rosyjski z powieścią o przyszłości i życiu wiecznym. Z opisu książki: już za naszego życia zostaną dokonane odkrycia, które pozwolą ludziom pozostać wiecznie młodymi. Nie będzie już śmierci. Nasze dzieci nigdy nie umrą. Jak będzie wyglądał świat wiecznie młodych, doskonale zdrowych, szczęśliwych ludzi? Znając wyobraźnię autora, to zapewne nie tak, jakbyśmy się spodziewali.

Blackout Marc Elsberg. To postapokaliptyczna powieść o tym, co by było, gdyby... zabrakło prądu. Niespodziewanie w całej Europie dochodzi do awarii sieci energetycznej na niespotykaną skalę. Włoski haker, Piero Manzano, podejrzewa, że stoi za tym jakaś zorganizowana grupa i próbuje przekonać do tego władze. Tymczasem kontynent pogrąża się w chaosie i dramatycznej walce o wodę, żywność i benzynę.



Stephen King

Znalezione niekradzione

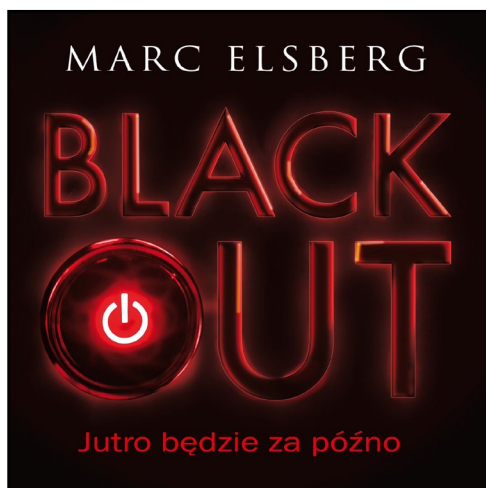
Łzy diabła Magdalena Kozak, autorka takich bestsellerów jak: **Nocarz**, **Renegat**, **Nikt**. Najnowsza powieść podsumowuje bogate doświadczenia pisarki zdobyte na polskich misjach wojskowych w Afganistanie. Czyni to jednak nie bezpośrednio – przeżycia pani podporucznik lekarz Magdaleny Kozak zostały przeniesione do odległego fantastycznego świata i podane czytelnikowi w formie pasjonującej epickiej historii.

Reportaż i literatura faktu:

III tom Antologii Reportażu pod red. Mariusza Szczygła. Jeśli będzie miał podobną objętość jak poprzednie dwa tomy, to wystarczy na długo. Zawierać będzie kolejne ciekawe, zapomniane reportaże polskich autorów składające się na obraz Polski i Polaków w ubiegłym wieku.

1945. Wojna i pokój Magdalena Grzebałkowska. Autorka jednej z najważniejszych książek 2014 roku **Beksińscy. Portret podwójny** i bestsellerowej biografii ks. Jana Twardowskiego **Ksiądz paradoks** tym razem zabierze nas do „roku zero”, w którym kończył się największy kataklizm XX-wieku i zaczynał nowy świat. Jej najnowsza książka nie jest jednak historyczną rozprawą, ale reporterską opowieścią o ludziach, których dramatyczne losy rozgrywały się w scenografii końca wojny.

Krall – książka o Hannie Krall – jednej z najlepszych polskich reporterek i pisarek, która przeżywszy II wojnę światową często w swojej twórczości wraca do holocaustu i losów Żydów. Książka przygotowywana jest przez Wojciecha Tochmana i Mariusza Szczygła.



Marc Elsberg
Black Out



Magdalena Kozak
Łzy Diabła

Nie sposób wymienić wszystkich ważnych, ciekawych, obiecujących tytułów, które będziemy czytać w tym roku. Po prostu bądźcie czujni, czytajcie recenzje, miejcie oczy szeroko otwarte.

Agnieszka Kalus

PREMIERY.

gier

#przygodówka o#humor

Tales from the Borderlands, Episode 1

Czy zwariowaną strzelankę można przekształcić w grę przygodową bez utraty klimatu? Telltale Games udowadnia, że jest to możliwe, odcinając się przy tym od kaca moralnego – elementu charakterystycznego poprzednich dzieł tego studia.

Niepokój i smutek znany z **The Walking Dead** został zastąpiony głośnym rechotem i żartem sytuacyjnym. Nie ma tu miejsca na trudne wybory moralne. Zamiast tego gracz otrzymuje zwariowane dialogi i często absurdalne scenki, które idealnie wpisują się w konwencję uniwersum wykreowanego przez Gearbox Software.

Zabawna atmosfera to zasługa świetnie dobranej narracji. Historię poznajemy z perspektywy dwóch bohaterów. Rhys to typowy urzędnik, wspinający się po skomplikowanych szczeblach kariery. Fiona ponad biurokrację przedkłada ostry miecz i sprawny rewolwer u pasa. Razem stanowią mieszkankę wybuchową, która napędza całą grę.

W **Tales from the Borderlands** brakuje decyzji, które miałyby wpływ na dalszy kształt przygody. Nie postrzegam tego jednak jako wadę. W końcu wydźwięk historii jest znacznie inny niż



w gloryfikowanym **The Walking Dead**. Z niecierpliwością czekam na kolejne epizody!

#przygodówka

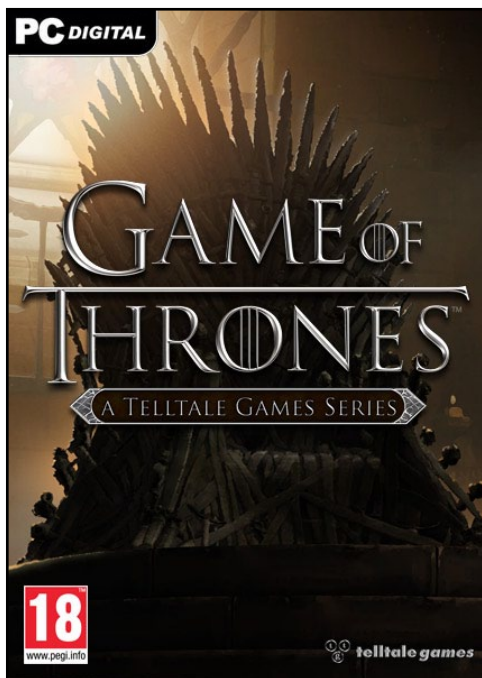
Game of Thrones, Episode 1

Telltale Games ma pełne ręce roboty. Jednoczesne tworzenie dwóch gier o zupełnie innym klimacie może być zadaniem szalenie trudnym. Po zabawnym **Tales from the Borderlands** przyszedł czas na historię, w której intryga, polityka i barwne postaci wręcz wychodzą z ekranu. W końcu taki jest świat **Gry o Tron**!

Produkcja Telltale Games jest oparta na licencji serialu. W grze nie tylko spotkamy bohaterów znanych z hitu HBO, ale również usłyszymy ich głos. Spodoba się to przede wszystkim fanom filmu (i książek). Inni nie mają tu zresztą czego szukać. Przygodówka jest mocno osadzona w świecie stworzonym przez Martina. Bez jego znajomości będzie ciężko.

Gra skupia się na rodzie Forresterów, o którym nawet w książkach wspomina się niewiele. Dzięki temu Telltales Games dało sobie możliwość lawirowania pomiędzy znanymi wydarzeniami, wplatając w nie własne postaci. I wyszło to znakomicie! Spokojnie przedstawiani bohaterowie zyskują naszą sympatię i budują więź emocjonalną, która w każdym momencie może zostać przerwana. Fani Telltale Games wiedzą, że to element charakterystyczny dla przygód tego studia.

Dwie godziny spędzone z grą nie pozostawiają złudzeń – to znakomite uzupełnienie uniwersum **Pieśni Lodu i Ognia** i warto czekać na kolejne epi-



Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over

zody. Na szczęście te powstają znacznie szybciej niż proza pisana przez Martina.

#cRPG #turówka #The Dark Eye

Blackguards 2

Wydane w ubiegłym roku **Blackguards**, choć niepozbawione błędów, zasłużyło na uwagę fanów turówek. Niemieckie studio postanowiło pójść za ciosem i oddać w ręce wygłodniałych entuzjastów taktycznego główkowania kolejną część. **Blackguards 2** to kontynuacja utrzymana na najwyższym poziomie.

Gra powraca do uniwersum **The Dark Eye**, przedstawiając dalsze losy znanych (anty)bohaterów. Twórcom udało się zachować mroczny, często wręcz niepokojący charakter świata. Na próżno szukać tu heroicznym czynów, rycerza na białym koniu i pięknej księżniczki zamkniętej w najwyższej komnacie wieży. Pełno jest natomiast fanatycznych wyznawców, spiskowców i rzezimieszków, gotowych poderżnąć gardło na widok sakiewki przypiętej u pasa.

Niewiele lepsze są wewnątrz motywacje naszych bohaterów. Główna postać chce po prostu dojść do władzy. Czy droga na sam szczyt będzie usłana trupami, zależy tylko od nas. Wybory moralne często sprowadzają się tu do mniejszego zła – zabić pojmanych jeńców, czy najpierw ich przesłuchać? Zdecydowanie nie jest to gra dla ludzi o słabych nerwach.

Także ze względu na charakter rozgrywki. **Blackguards 2** to turówka, która nie wybacza błędów. Potyczki z często przeważającymi siłami przeciwnika są skomplikowane i wymaga-



jące. Na graczu wymusza się poznanie wszystkich umiejętności jego podwładnych. Odpowiednie ich wykorzystanie to klucz do sukcesu. Dzieło Daedalic Entertainment na każdym kroku nawiązuje do klasyków cRPG – drobny błąd zazwyczaj oznacza śmierć całej drużyny.

Na niekorzyść **Blackguards 2** może przemawiać mała różnorodność napotykanych przeciwników. Czymże to jednak jest w obliczu usłanej trudnościami turowej przygody? Fani gatunku po raz kolejny nie mają powodów do narzekań.

#mobilne #czołgi #online

World of Tanks Blitz

Gry mobilne nie pojawiają się zbyt często w naszym magazynie. W przypadku **World of Tanks Blitz** zrobimy jednak mały wyjątek. Jest to bowiem idealny przykład na to, jak powinny wyglądać wszystkie tytuły wydawane na urządzenia przenośne.

Blitz to przeniesienie dobrze znanej formuły na smartfony i tablety. Ze względu na ograniczenia sprzętowe potyczki rozgrywane są na nieco mniejszą skalę. Nie oznacza to jednak, że są mniej satysfakcjonujące. Wręcz przeciwnie, mobilna wersja potrafi przykuć na całe godziny, podobnie jak jej starsze rodzeństwo na pecetach i konsolach.

Studio Wargaming na niewielkim urządzeniu udało się odzwierciedlić wszystkie elementy, które przesądziły o sukcesie **World of Tanks**. Są dynamiczne bitwy, jest załazek walki taktycznej i wciągający rozwój pojazdów. Syndrom „jeszcze jednej potyczki” jest w **Blitz** wszechobecny.



Sensownie rozwiązano także sterowanie za pomocą dotyku. Choć trzeba się do niego przyzwyczaić, to po kilku ustrzelonych czołgach wchodzi w krew, a manewrowanie kilkudziesięciotonową puską staje się przyjemne.

Gdyby wszystkie studia podchodziły do gier mobilnych w podobny sposób jak Wargaming, smartfony i tablety szybko stałyby się ciekawą alternatywą dla klasycznych gier. Na to jednak jest jeszcze za wcześnie.

#wyścigi #USA #online

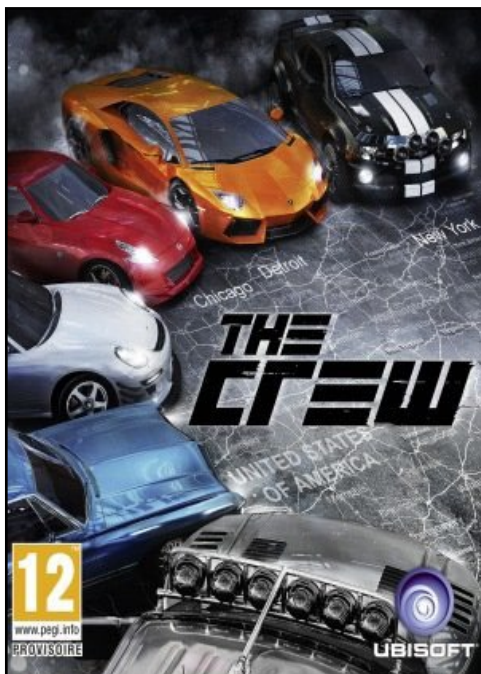
The Crew

Ivory Tower wybrało się w długą i męczącą podróż przez Stany Zjednoczone, próbując odtworzyć legendę **Test Drive Unlimited** i zadowolić zagorzałych fanów. Czy studio szczęśliwie dotarło do celu?

The Crew to gra wyścigowa zorientowana na rozgrywkę wieloosobową i jazdę po niekończących się autostradach Stanów Zjednoczonych. Za tytuł odpowiedzialne są osoby, które w przeszłości pracowały przy **Test Drive Unlimited**. Oczekiwania fanów były zatem ogromne. Nie wszystko jednak zagrało, a w silniku pojawił się niepokojący stukot.

The Crew zachwyca rozmachem. Wykreowany świat jest ogromny i zróżnicowany. Z łatwością odnajdziemy tutaj charakterystyczne miasta Ameryki Północnej. Malownicze palmy w Miami, parki narodowe na północy, neonowe Las Vegas czy w końcu Statua Wolności na wschodnim wybrzeżu – klimatu **The Crew** nie sposób odmówić.

Podobnie prezentuje się model jazdy. Zadowolili on zarówno niedzielnych



kierowców, jak i graczy zwracających uwagę na najmniejsze szczegóły. Co prawda **The Crew** to gra zręcznościowa, jednak zawiera elementy nawiązujące do symulacji.

Nieco gorzej wypada clue programu, czyli rozgrywka wieloosobowa. Twórcy przygotowali sporo wyzwań, jednak te szybko zaczynają się nudzić. Sytuacji nie ratuje rywalizacja pomiędzy dwoma frakcjami oraz możliwość przemierzania świata z maksymalnie czterema znajomymi. To za mało jak na grę o takim rozmachu.

Ivory Tower nie przemysłało także ekonomii, rzucając gwoździe pod własne koła. Samochody są drogie, a wirtualną walutę zarabia się powoli. Czym są jednak koleiny w porównaniu do prawdziwej wyrwy w moście – mikrotransakcji. Za prawdziwe pieniądze można w grze kupić niemal wszystko, co nie każdemu musi się podobać.

The Crew to ciekawa propozycja dla wygłodniałych fanów sieciowych ścigalek. Niestety wypad do Stanów Zjednoczonych nie okazał się rajem dla osób, które kilka lat temu rozbiły się po Hawajach. Na godnego następcę **Test Drive: Unlimited** wciąż musimy poczekać.

#akcja #absurd #humor

Saints Row: Gat out of Hell

Seria **Saints Row** od zawsze stanowiła ciekawą alternatywę dla **GTA**. Jednak czy zwariowany humor, totalny brak realizmu i absurda fabuła wciąż bawią tak samo? **Gat out of Hell** to znakomity przykład na to, że nawet najlepsza formuła może się kiedyś znudzić.



Przygody gangu Świętych nigdy nie były brane na poważnie. Przy okazji czwartej części twórcy postanowili sięgnąć po elementy nadprzyrodzone, sprowadzając serię na dziwne tory. Absurdalna podróż trwa do tej pory, a kolejnym przystankiem jest centrum piekła z Szatanem na czele.

Tam właśnie trafiają bohaterowie **Gat out of Hell**. Zmiana scenerii teoretycznie powinna owocować w kolejne zwariowane pomysły. Tak niestety nie jest. Nowe **Saints Row** to powielanie wyświechtanych schematów. Zamiast powiewu świeżości otrzymujemy co najwyżej stęchły oddech Szatana, przywołujący na myśl wczorajszą imprezę rozkręconą przez Williama Szekspira.

Ten ostatni jest jednym z ciekawszych pomysłów całego **Gat out of**

Hell. Reszta to niestety wykonywanie wciąż tych samych zadań, które sprowadzają się do eliminowania dużych grup przeciwników. Taki schemat bawił przez ostatnie dwie części serii. Może w końcu przyszedł czas na zmiany?

Stagnacja dotyczy również oprawy graficznej. Pod tym względem od **Saints Row III** nic się nie zmieniło. Silnik gry wciąż potrafi generować ładne widoki majestatycznej metropolii, jednak po dokładnym przyjrzeniu możemy zauważyć szereg niedoskonałości.

Autostrada absurdu, którą od kilku lat pędzi Volition Games, zakończyła się ślepym zaułkiem. Czy studio znajdzie odwagę, by zawrócić i podążyć w przeciwnym kierunku? Zdaje się, że jest to jedyna szansa na uratowanie oryginalnej serii.

Opracował: Wojciech Onyszków



Zobacz, Dotknij, Graj!

Pierwszy taki projekt w Polsce!

www.muzeumgierwideo.pl